

Czasopis

CENA 3000 zł.



BIAŁYSTOK
BIELSK PODLASKI
HAJNÓWKA
SIEMIATYCZE
SOKÓŁKA

ROK III NR 7-8 (19-20)
LIPIEC- SIERPIEŃ 1992

PISMO INFORMACYJNO - KULTURALNE WSCHODNIEJ BIAŁOSTOCCZYZNY

Białoruś – to nie jest sprawa dla mięczaków.

[illegible] ©



Fot. Aleś Krysztapowicz

"CZASOPIS"
INFORMACYJNO-KULTURALNY
MAGAZYN MIESIĘCZNY
WSCHODNIEJ BIAŁOSTOCCZYZNY

Дуброва, Шудзялава, Крынкі, Гарадок, Міхалова (Нязбодка), Васількова, Супрасьль, Нараўка, Нарва, Белавежа, Заблудаў, Чыжы, Дубічы Царкоўныя, Орля, Боцькі, Кляшчэлі, Нурэц Станцыя, Чаромха, Мельнік, Мілейчыцы, Сураж, Бранск.

(Dąbrowa B., Szudziałowo, Krynki, Gródek, Michałowo, Wasilków, Supraśl, Narewka, Narew, Białowieża, Zabłudów, Czyże, Dubicze Cerkiewne, Orla, Boćki, Kleszczele, Nurzec Stacja, Czeremcha, Mielnik, Milejczyce, Suraż, Brańsk)

Adres
15-001 BIAŁYSTOK, ul. Suraska 1, skr. poczt. 262, tel. 210-33 (grzeczn. - "Niwa")

Wydawca
Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich

Redakcja
Jerzy Chmielewski, Wiesław Choruży, Sławomir Iwaniuk, Jerzy Kalina, Dorota Kuźmicz

Stale współpracują
Piotr Bajko, Dariusz Fionik, Andrzej Gawryluk, Sokrat Janowicz, Oleg Łatyszonek, Mirosława Łuksza, Antoni Mironowicz, Eugeniusz Mironowicz, Sławomir Nazaruk

Skład komputerowy
Jerzy Chmielewski

Druk
ORTHDRUK,
ul. Antoniuk Fabryczny 13,
15-762 Białystok

Prenumerata
1. Wysyłka pocztowa prowadzona przez redakcję-wpłacając dowolną sumę pieniędzy na nasze konto bankowe (5526-80725-136 II PKO B-stok) zapewniacie Państwo otrzymanie od nas odpowiedniej ilości kolejnych numerów "Czasopisu". Np. prenumerata półroczna (sześć kolejnych egzemplarzy) to konieczność wpłaty 20 tys. zł.
2. Prenumerata pocztowa - szczegóły w urzędach pocztowych i u listonoszy.
INDEKS 355035
Nakład 3500 egz.
Numer zamknięto 1992. 07. 15.

"Czasopis" sponsoruje MKiS RP

OD REDAKTORÓW ...

MILI CZYTELNICY

Lato, wakacje, urlopy. Te trzy słowa najlepiej chyba oddają charakter tego czasu. Prawie wszędzie trwa „sezon ogórkowy". Odpoczywamy w różnej formie - na wczasach, obozach, wycieczkach, na wsi. I jak zwykle oglądamy telewizję, słuchamy radia, czytamy... No właśnie - mimo wszystko chwytamy za książkę lub czasopismo nie tylko w smutne, deszczowe dni. Wychodząc naprzeciw wymaganiom czasu, przygotowaliśmy specjalne, letnie wydanie "Czasopisu". Numer, który trzymacie Państwo w rękach, jest sygnowany na dwa miesiące - lipiec i sierpień. Z tego względu ma też zwiększoną objętość. Aby odpocząć od zawiłych problemów, większość tekstów ma charakter lżejszy, relaksowy. Jednak nie do tego stopnia, by wypaść z rytmu życia naszej społeczności - jej problemów obecnych, historii.

Uważni Czytelnicy z pewnością oczekują od nas wyjaśnień. Mimo wcześniejszych zapewnień, nie udało się nam, niestety, wprowadzić wydawania "Czasopisu" w pierwszej dekadzie każdego miesiąca. Kiedy wydawało się nam, iż wszystko w tym kierunku uczyniliśmy - nieoczekiwanie pojawiła się u nas "Niwa". Komputery przygotowane głównie dla potrzeb naszego miesięcznika zaczęły pracować dla "Niwy". Skutek stał się widoczny niemal natychmiast. "Złapaliśmy" dwutygodniowe opóźnienie. Rozbicie rytmu ujawniło się też w nieukazaniu się do tej pory niektórych, wcześniej przez nas anonsowanych artykułów. Z całą pewnością nie spowoduje to wzrostu sympatii do nas wśród czytelników. Zrozumienie i nadzieję wzbudza jednak stale zwiększający się krąg naszych współpracowników, częstsze listy, polemiki itp. Bo trudności w "Czasopisie" były zawsze, od początku. W lepszej formie (miejmy nadzieję) spotkamy się we wrześniu.

(red)

Echa wizyty

W dniach 23-25.06.b.r. gościła w Polsce delegacja Republiki Białoruś z Przewodniczącym Rady Najwyższej Stanisławem Szuszkiewiczem. O samym jej przebiegu, programie poszczególnych trzech dni, efektach i perspektywach na przyszłość napisano i powiedziano wiele. Jest za to inny aspekt tego wydarzenia, nad którym warto się chwilę zastanowić. Mam tu na uwadze sposób postrzegania i komentowania przebiegu wizyty delegacji białoruskiej przez polskie środki masowego przekazu. Z przykrością należy w tym miejscu stwierdzić, że **dziennikarze byli zupełnie nieprzygotowani do jej obsługi.** Dla potwierdzenia tej tezy posłużę się kilkoma ilustracjami.

W dniu podpisania Traktatu Polsko - Białoruskiego spiker głównego wydania "Wiadomości" powiedział: "Próba podpisania przez ministra Skubiszewskiego Deklaracji Polsko - Białoruskiej dwa lata temu zakończyła się fiaskiem, gdyż strona białoruska domagała się roszczeń terytorialnych w stosunku do części terytoriów województw łomżyńskiego i białostockiego (!) (...)". Niekompetencja, głupota czy... prowokacja? Z kolei, w czasie pobytu delegacji białoruskiej na Białostocczyźnie "Panorama" komentowała:" W dniu dzisiejszym delegacja białoruska z Prezydentem Szuszkiewiczem odwiedzi Muzeum Białoruskie w Supraślu(!) i Liceum Białoruskie w Bielsku Podlaskim z białoruskim językiem wykładowym(!)". Chyba niekompetencja?

Podobne "pomyłki" bardzo często popełniała prasa, jak ogólnopolska, tak i regionalna. "Gazeta Wyborcza" pisała, że prezydentowi towarzyszył patriarcha(!) białoruskiego Kościoła prawosławnego metropolita Filaret. Podobne przykłady można mnożyć w nieskończoność. A już z pewnością szczytem bezczelności był tekst Hieronima Wawrzyńskiego w białostockim brukowcu "Kurier Podlaski" pt. "Dzwony od prezydenta". Tak wielkiej ilości kłamstw, niedorzeczności i złej woli nie znalazłem w żadnym innym artykule komentującym wizytę białoruskiej delegacji.

Wniosków nasuwa się kilka. Pierwszy to ten, że strona polska nie potraktowała Białorusinów zbyt poważnie (świadczy o tym choćby marginalne traktowanie wizyty w środkach masowego przekazu). Białoruś nie jest dla Polski równorzędnym partnerem, i nietrudno było to odczuć. Przeciwnie zaś strona białoruska - w tym przypadku stawka na polską kartę jest aż nazbyt wyraźna.

zak. na str. 8

"Kurier Podlaski" - w czyim interesie?

Nie ma potrzeby rozwodzić się nad antybiałoruskim nastawieniem „Kuriera Podlaskiego", jako że to już publicznie oczywiste. Kiedyś, parę lat temu, popełniłem błąd polemiki z jego autorami, nie zdając sobie wówczas sprawy, iż jest to pismo brukowe, a wychodzenie z takowym na ring jakowyś grozi ciosem poniżej pasa, co też tak się i stało, znienacka i nielicho obrywając iście w stylu skądinąd znanego nam t.zw. "naszego posła"... Rzecz w tym, że ze zmyślonymi faktami i preparowaną zeń argumentacją nie sposób dyskutować z tej prostej przyczyny, iż druga strona wcale nie jest nastawiona na ewentualne uznanie racji przeciwnika, lecz na "dołożenie" mu za wszelką cenę. Ów bandytyzm prasowy ostatnio dał o sobie znać na łamach "Kuriera Podlaskiego" z okazji relacjonowania wizyty prezydenta Białorusi w Białymstoku, a zwłaszcza - spotkania w Urzędzie Wojewódzkim z przedstawicielami mniejszości białoruskiej. Afera ta wykracza poza wymiar lokalny, i kwalifikuje się co najmniej do rozprawy sądowej o obrazę głowy zaprzyjaźnionego państwa. Przy czym stroną pozywającą wypada być Wojewodzie Białostockiemu, jak mniemam, ponieważ to on, a nie miejscowi Białorusini, podejmował wysokiego gościa i czynił honory gospodarza domu.

Już zupełnie szaleńczo bryzgając błotem pomówień, "Kurier Podlaski" dał niezłą okazję do zastanowienia się nad czymś innym.

W Białymstoku i regionie ukazuje się kilka gazet i czasopism, jednakże żadne z nich nie uprawia fobii antybiałoruskiej, chociaż, na siłę chcąc, nietrudno o jakieś, mniej lub bardziej prawdziwe, faktiątko w rodzaju przynajmniej burdy w gospodzie, w której, po pijaku, Wańka skoczył do Zdzicha, to nic, że z całkiem innego powodu, aniżeli język czy metryka urodzenia... Zawsze się da coś z czegoś wyinterpretować, nieprawdaż?



Samo przez się nasuwa się pytanie: dlaczego akurat "Kurier Podlaski" i nikt inny tak zaciekle wali w ten białoruski bęben? Czyżby tylko z obliczeniem na przypodobanie się pewnej kategorii PT Czytelników, by utrzymać albo i zwiększyć swą poczytność, wysokość nakładu? Wygląda to na wielce prawdopodobne w przypadku prasy bulwarowej, do której niewątpliwie kwalifikuje się ów tytuł... Aliści daleki jestem od przekonania, że w jego redakcji tkwią, niczym przysłowiowe kołki, sami głupcy i moralni szachraje. Stawką w tej grze nie jest zwiększenie sprzedaży egzemplarzy, lecz cel zgoła poważny: wytworzenie w tym dwunarodowościowym pograniczu permanentnego stanu niepokoju, poczucia wzajemnego zagrożenia w społecznościach Polaków i Białorusinów, głębokiej nieufności uniemożliwiającej procesy integracyjne. Jak na redakcję, jest to zadanie ściśle wykonawcze, zaś myśli za nią ktoś inny. Wiem, że spotka mnie zarzut zwolennika t.zw. teorii spiskowej. Nie należę do nich, ale lubię analizować fakty i zdarzenia (te prawdziwe, a nie zmyślone przez niedojdy polityczne).

Życiorys "Kuriera Podlaskiego" - w odróżnieniu od "Kuriera Porannego", na ten przykład, - począł się w gabinetach niegdysiejszego Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ówczesnej "siły przewodniej". Jego pierwszymi redaktorami naczelnymi byli "sprawdzeni towarzysze", którzy do momentu zaistnienia Okrągłego Stołu i dopuszczenia "Solidarności" do uczestnictwa w cząstkowo wolnych wyborach parlamentarnych zachowywali się w zgodzie z interesem swoich mocodawców, czyli nie jątrzyli, nie podgrzewali tego kotła narodowościowego. Huzia na (białoruskiego) Józia zaczęło się na łamach "Kuriera Podlaskiego" dopiero u schyłku zimy 1989 roku, kiedy to było już na pewno wiadomo, że "Solidarność" rusza do walki o mandaty w Sejmie i Senacie. "Kurier P." jest bez wątpienia polską gazetą, i skoro drukuje takie niestworzone rzeczy pod adresem tutejszych Białorusinów, choć i tych samych obywateli Państwa Polskiego, to czemuż się dziwić, że w gminach z ludnością białoruską wybuchła wręcz panika w związku z przewidywanym wtedy odstąpieniem części władzy właśnie dla "Solidarności", uchodzącej za siłę skrajnie nacjonalistyczną! Kandydaci partyjni do parlamentu zyskali tam powszechne w rezultacie poparcie; rodziły się wprost mity o nich jako o utajnionych Białorusinach, wyposażonych - w odróżnieniu, np. ode mnie - w znaczące wpływy "tu i wyżej". Na tym trzyma się tutaj stabilność elektoratu p. Włodzimierza Cimoszewicza, który, pół-żartem, pół-serio mówiąc, winien redaktorom "Kuriera Podlaskiego" bardzo, ale to bardzo wiele wdzięczności. Tylko - jak ma ją okazać..?

Straszenie działaczy mniejszości białoruskiej, że są oni na dobrą sprawę niepoprawnymi wrogami swej ojczyzny, Rzeczypospolitej Polskiej (vide: znane wystąpienie sejmowe Krzysztofa Putry) - wywołuje grymas rozbawienia u ludzi światłych , lecz nie u skołowanych szaraczków na najbliższym Mazowszu czy w hajnowskich opolach. Ta socjotechnika nie może tu trwać jednak wiecznie i w końcu jej manipulatorom wyjdzie ona bokiem. Napuszczanie Polaków na Białorusinów musi się skończyć! Nie wyobrażam bowiem sobie takiego państwa z aspiracjami do demokracji, które na dłuższą metę tolerowałoby judzenie jednych obywateli przeciwko drugim z powodu ich inności narodowej czy religijnej. A dawanie pożywki do plotek, że prezydent ościennego państwa przybył do naszego miasta i województwa - kto wie czy nie z przymiarkami aneksji... Tu hola-hola, panowie "kurierowicze": przedobrzyliście tym razem w umacnianiu bazy wyborczej spadkobiercom swych niedawnych dobrodziejów, bo i emaglowany przez was Polak-katolik też się połapie, że jest wpuszczany przez was w maliny. Nie o żadną tu obronę czegokolwiek wam chodzi, aliści o cościk banalnego, tyle że pod kwiecistą przykrywką miłą naiwnemu oku idealistycznego patrioty...

SOKRAT JANOWICZ

P.S. Z zadowoleniem odebrałem wiadomość, że Białoruskie Zjednoczenie Demokratyczne wystąpiło o wytoczenie procesu przeciwko redakcji "Kuriera Podlaskiego". Oby tak się stało - to może wreszcie zaznamy pokoju od tych ... wydrwiduszy.

DOROTA KUŹMICZ

ŻEBY NIE UMIERAĆ ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI...

Umarła staruszka. Za zamkniętymi drzwiami. Śmierć może przecisnąć się choćby przez dziurkę od klucza, nie musi pukać do zamkniętych drzwi. Sąsiedzi powinni. Ale często pukają do tych drzwi za późno. Dopiero wtedy, gdy za zamkniętymi drzwiami rozpaczający kot zaczyna niepokoić swoim płaczem i upomina się o swoje życie. Stara, znana historyjka obyczajowa.

Ci, którzy słyszeli co nieco o tym, co stworzyła w Grzybowcach pani Basia Brzozowska, nazywają to Domem Starców. Tak mówią ludzie z Gródka, z Grzybowiec.

Dom Starców. Ta nazwa kojarzy się jednoznacznie. Niedołężni, niepotrzebni staruszkowie. I nieskończone pytania "opiekunów". "Światła pogaszone? Radio wyłączone?.." No bo taki staruszek, to on potrafi...

W Domu Starców ludziom jest źle. A najgorzej wtedy, gdy stary człowiek zachoruje. Wtedy oddają go do Domu Wariatów. Tak mówi pani Basia.

To nie jest Dom Starców. Ci, którzy tu są, obraziliby się, gdyby ktoś w ich obecności tak właśnie nazwał Ich Miejsce. W Grzybowcach.

A tu... Pan Henryk kończy właśnie pracę przy drewnianym płotku. Pani Ala obiera ziemniaki. Pani Wiesia wojuje z chwastami w ogrodzie. Pan Jan chodzi z grabiami. Pani Maria...

A pani Basia Brzozowska wróciła właśnie z Gródka. Jeszcze trochę zziajana. Dobra wróżka. Czarodziejka. Tak właśnie nazywam ją w myślach, gdy widzę jej białe rozwichrzone włosy, małe okularki, uśmiech. "Pani Basia to człowiek lotny" - tak określiła ją jedna z domownic. Szkoda, że nie ma skrzydeł. Nie musiałaby jeździć do Gródka autobusem.

Pani Basia miała różne propozycje starych, nieużytecznych szkół. I wybrała to miejsce - Grzybowce. Zdrowe powietrze. Las. I droga do Gródka nie tak bardzo uciążliwa.

Grzybowce - to malutka wioseczka - 42 km na wschód od Białegostoku, 5 km od Gródka.

"Teren jest, szkołę pustą dam, tylko pieniędzy nie dam" - powiedział 7 lat temu Naczelnik gródeckiej gminy. Ale pani Basia pieniędzy nie chciała i nie chce przyjmować. To byłoby wbrew jej zasadom. "Mąż umarł. Widocznie tak było sądzone. Bo czy mąż pozwoliłby mi na takie "wariactwa"? Sprzedałam dom w Łodzi i przyjechałam tu, do pustej szkoły."

Czy sama? Koleżanki nie chciały razem z nią, tu. "Na Sybir? Po co?!" Nie sama. Ze swoimi wielkimi marzeniami o Stowarzyszeniu Ludzi Dobrej Woli.

To nie Dom Starców. To Stowarzyszenie Ludzi Dobrej Woli. Chyba jedyne na świecie.

I były kłopoty z zarejestrowaniem związku. Dlatego właśnie, że pierwszy tego rodzaju. Mówiono w urzędach, że można kochać kwiatki, pieski, herbatkę wypić i rozejść się. "A ludzi kochać nie można?" - pytała urzędników pani Basia. A ci z urzędu znów, że to fantazja starszej pani. "Wasz system to jeszcze większa fantazja, a to, co ja chcę zrobić, jest całkiem realne. Zbieram starszych ludzi, którzy nie przepili pieniędzy, którzy chcą trochę popracować, coś zbudować, mieszkać razem".

Ona poprawi los starym ludziom. Ona jeszcze pokaże światu, ile wart jest stary człowiek. Takie obietnice składała 14-letnia Basia Brzozowska, Bogu i sobie.

To ma być tak... Powinni się zebrać starsi ludzie różnych zawodów. Lekarze, elektrycy, fryzjerki... Żeby wspólnota mogła być samodzielna. I gimnastyka. I ścieżka zdrowia. Dyżury w świetlicy. I telefony. I lampki przy drzwiach. Wieczorne wspólne spotkania. Zielona lampka zapala się przy drzwiach, to znaczy, że staruszek woli spędzić wieczór sam ze sobą... To piękne marzenia, które się spełnią. Tylko czas jest potrzebny. "A nasza wspólnota staruszków jest jeszcze bardzo młodziutka."

Pani Basia ma 77 lat. I własną filozofię starości. Stary człowiek się zmienia. To, co młody uważa za białe, dla niego jest czarne. Ma dobre intencje, tylko nie zawsze udaje mu się utrzymać kroki na linii prostej. Ciężar lat przechyla na boki. Pani Basia spenetrowała wiele Domów Starców. Tak ciasno tam. I krok w krok chodzi się tam za tym starym człowiekiem. A przecież staremu człowiekowi trzeba podarować wolność. I pani Basia chce podarować tym ludziom wolność i jeszcze coś - poczucie bezpieczeństwa. Chodzi o to, żeby nie być samotnym w tej wspólnocie. I żeby nie umierać za zamkniętymi drzwiami.

Tu trzeba przyjść wcześniej. Do małego świata pani Basi. Trzeba przyjść jeszcze ze swoimi siłami. Żeby coś zbudować. Zbudować Dom Spokojnej Starości. I żeby stary człowiek mógł powiedzieć: "Mam tu swoją działkę i ja tu przyjdę, jak nadciągnie czas. A dzieci, jak chcą sprzedać pole, to niech sprzedają." Ale na



Wagony, wagony...

większą skalę to nie tak prędko się spełni, bo stary człowiek przywiązany jest do swego kołka w płocie. "I sam nie zje, a ostatni grosik odda dzieciom" - dodaje pani Basia.

Rozmawiamy. Pani Basia owija zieloną bibułką druciki. To łodygi kwiatów. Przy stoliku dwie młode uczennice ze wsi. Układają dziecięcymi paluszkami płatki kwiatowe. Pani Basia kocha kwiaty. Tak jak prawdziwa czarodziejka. Kwiaty na ścianie. Kwiaty na stole. Kwiaty na obrazkach. Ona chciałaby, żeby na nauki przychodziły też kobiety ze wsi. Bo takie kwiatki zawsze mogą się przydać. Ale nie - że teraz tyle pracy w gospodarstwie.

Pani Basia przyjeżdża raz w tygodniu do gródeckiego Domu Kultury. Przychodzi kilka starszych kobiet. I wspólnie kwiaty kolorowe robią, lub kapcie pomysłowe. Będą też szyły kapelusze przeciw ozonowej dziurze. Można by sklepik w Gródku nawet otworzyć, i sprzedawać te rzeczy. Stary człowiek też potrafi.

Chciałaby przekazać innym to, co ma w sobie. Taka to już dusza pani Basi.

Może to trochę dziwne, ale te bezpieczne gniazda wiją sobie w starych wagonach. Najpierw wszyscy mieszkali w wyremontowanej szkole. A potem dostali wagony, bezpłatnie, bo przeznaczone już na złomowisko. Wagony stały przez 5 miesięcy na stacji w Waliłach i dokumentnie je okradziono. Były kłopoty z transportem. "Kaktusy nam o tu wyrosną, jeżeli pani Basia te wagony przetoczy z Walił do Grzybowiec, po takim piachu" - mówiono. I przetoczyła. 12 wagonów. Kaktusy pewnie już zakwitły. To już 3 lata minęły. Jeden z wagonów jest już wykończony, przerobiony - to najbardziej reprezentacyjny wagon pana Henryka. Trzy zrobione na razie tylko w środku.

Stowarzyszenie Ludzi Dobrej Woli to 24 osoby. Tylko 10 członków jest tu, w Grzybowcach. Ci - z Warszawy, Lublina, Łodzi, Białegostoku, Giżycka. Pozostali - w Białymstoku. Przyjeżdżają, odwiedzają. W sobotę przyjedzie pani Halina. Taka imieninowa imprezka jest wielkim wydarzeniem. Przyjdą panie ze wsi.

Czy jest zadowolona ze swoich staruszków? No pewnie. Bo gdyby ich nie było... Chociaż nie są bez wad. I trzeba wybaczyć panu Janowi, że trochę gapa z niego, i że pożaru małego ostatnio narobił. Ale przecież nie chciał źle.



Pani Basia (ta drobniutka w okularach) z gośćmi.

Wszyscy, którzy tu przyjechali, dowiedzieli się o pani Basi i o tym miejscu z gazet. Warunkiem pobytu - dwie godziny pracy dla wspólnego dobra. I wpłata drobnej kwoty pieniędzy.

Pracują, kopią, budują. Nie ma czasu na nudy. To tak dobrze powiedzieć sobie: "Nie mam czasu, bo ciągle jest coś jeszcze do zrobienia." Odpoczną na te najstarsze lata. Jeszcze przyjdzie na to czas. Teraz budują sobie spokojną starość. To dopiero początki spełnienia marzeń pani Basi. Oni są pierwszym stopniem. Młodzi staruszkowie są dumni ze swoich wagonów. Zapraszają bardzo serdecznie, pokazują swoje przytulne pokoje. Skromne drewniane mebelki. Każdy urządza na miarę swoich sił i zdolności.

I każdy ma swój ogródek. Pani Alina Adamowicz - rodowita warszawianka - cieszy się niesamowicie, że ma swoje truskawki, będą jeszcze ziemniaki. W Warszawie ziemię mogła mieć tylko w doniczce.

Jakiego koloru są nici wiążące wieś ze światem pani Basi? Żadnych różnic narodowościowych i wyznaniowych się nie odczuwa - mówi pani Basia. Pani Tamara też jest tego samego wyznania. Jej dom - najbliżej "Domu Starców". I ona też tak określa to miejsce. Świętuje się wspólnie imieniny, urodziny. Przy sianie pomagali. Córka pani Tamary przyjechała, to dziwiła się, że z sianem tak się szybko uwinęli. Jak się wyprowadzają do swoich miast - bo niektórzy z nich są tu na razie od wiosny do jesieni - to bale wyprawiają. I pani Ala zaprasza do Warszawy. Ale jak się tu wyrywać do takiego wielkiego miasta? Tak, niektórzy ze wsi śmieli się i śmieją z pani Basi. Ale to nie tylko ci z Grzybowiec.

Jeszcze ciągle trudno zrozumieć, że są prawdziwi czarodzieje na tym świecie. Którzy nie chcą, by samotne staruszki i samotni staruszkowie umierali za zamkniętymi drzwiami. A właśnie taka czarodziejka mieszka w zupełnie malutkiej białostockiej wsi.

"I tak dla tego szczęścia staruszków pracuję, tylko nie wiem, czy zdążę. Ale ja jestem uparta."

"Pan z gródeckiej opieki społecznej zaproponował szafy. Musiałam pojechać do Gródka załatwić tę sprawę. Ale ja nie chcę brać tych szaf. Wierzę, że są bardziej potrzebujący. Moje panie to mają na nie chrapkę." Pani Basia nie lubi żadnych darowizn. Ja chciałam zapytać o pomoc z zewnątrz. Myślałam, że usłyszę, że ludzie tacy nieuczynni, egoistyczni. A tu pani Basia mówi, że ona żadnych darowizn nie uznaje, żadnej pomocy nie potrzebuje. To ludzie muszą wszystko własnymi rękami. Tu nie ma ludzi, którzy nie daliby sobie rady.

"Jeszcze nie wiem, czy wezmę te szafy. Jutro pojadę znów do Gródka, z odpowiedzią. A dziś wieczorem zapytam, żeby się upewnić." Prawdziwa czarodziejka.

Pani Basia to "człowiek lotny". Dziś w Gródku, jutro do Gródka, pojutrze do Białegostoku... Jeżeli Pan Bóg będzie przydzielał skrzydła, ona powinna je dostać w pierwszej kolejności. Brać - to wbrew jej zasadom, ale od Pana Boga by przyjęła. Przydadzą się jej na pewno.

DOROTA KUŹMICZ

УЦЯКАЧ

Чытаючы сп. Яўгена Мірановіча ў „Часопісе" н-р 6 1992, дзе ён, на мой погляд вельмі слушна ацэньвае, прагназуе, спадзяецца ў артыкуле пад загалоўкам „Паміж ілюзіяй і абсурдам", нельга не адчуць песімізму. Пры тым кроў гарачая чалавека залівае, калі іншыя нам і мы самі сабе адымаем ўзровень чалавечай гордасці, якая ўсё яшчэ выходзіць на вуліцу чырванеючы ад сораму: „Вунь паны, а хто я?" Гэта комплекс усёй нашай нацыі, як бы мы не хваліліся сваімі дасягненнямі, як бы мы не выцягалі галаву, каб дараўняць нашай большасці — палякам. Яны нават не хочуць, каб мы ім лізалі рукі, бо і трактуюць нас роўнымі сабе (з мусу, напрыклад, літаратары, калегі і многа прафесараў), але мы ліжам, бо мы сабачае пароды: лізаць пану руку і віляць хвосцікам, каб не угнявіць, бо прывяжа вяроўкай да плоту і не дасць есці.

Каб не цытаваць многа са сказанага Мірановічам, прывяду на памяць чытачам адзіны маленькі фрагмент: „... Быў у Польшчы прэм'ер-міністр Кебіч, міністр замежных спраў Краўчанка, міністр асветы Гайсёнак, віцэ-міністр культуры Рылатка. Што ўразіла шмат беларусаў у гэтых палітыкаў — гэта закамплякселасць перад палякамі, амаль нулявое разуменне праблемаў беларускай меншасці ў Польшчы і фармалізм у адносінах да сваіх суродзічаў". Мірановіч прыкмеціў гэта вельмі трапна і з балючасцю сэрца.

Спадар Мірановіч не ведае, або не хацеў сказаць і такой горкай праўды, што ад заканчэння II сусветнай вайны да гэтага часу працаўнікі пасольства, консулятаў і розных устаноў ды прадпрыемстваў Савецкага Саюза ў Польшчы лічылі нас ворагамі і не хацелі з намі падтрымоўваць ніякіх кантактаў, нават не вербавалі беларусаў на тайных агентаў супраць палякаў, а толькі ангажавалі палякаў супраць беларусаў. Маю на ўвазе КДБ. Ім верылі, а нам не. Але зноў, каб не распісвацца доўга, бо бярэ мяне халера і напісаў бы шмат, прывяду тры (усяго тры) прыклады са свайго вопыту.

1. У 1966 годзе польская контрразведка атрымала з заходняй Еўропы інфармацыю аб тым, што на Познаньскую ярмарку прыедзе кадравы афіцэр разведкі, які меў заняцца вярбоўкай агентаў сярод палякаў і арганізаваць „канал пераплыву" іх на тэрыторыю Савецкага Саюза.

У групе, якая мела перашкодзіць афіцэру ў выкананні загаду атрыманага ад шэфа, знайшоўся і я па той прычыне, што ведаю расейскую мову. А патрэбны быў такі чалавек і таму, што меў прыехаць з Масквы афіцэр КДБ для супольнай распрацоўкі ворага.

Калі я заехаў у Познань, якраз наткнуўся на калегу, з якім вучыўся ў школе контрразведчыкаў. Той сказаў: „Вася, хадзі, я пазнакомлю цябе з таварышам з Савецкага Саюза, з якім будзем супрацоўнічаць. Я падыйшоў і вітаючыся сказаў: „Меня зовут Петручук Василий Владимирович", як прынята ў Расіі. Падпалкоўнік падаў мне руку, прабарматаў нешта накшталт свайго прозвішча, ды адразу сказаў: „Пойдём, Здзислав, а то у нас времени в обрез".

Я быў упэўнены, што Здзісё яго не разумее зусім, або пятае цераз дзесятае, але калі той пайшоў, дык і Здзісю нічога не засталося рабіць.

У той дзень мы ўжо не спаткаліся — рабілі кожны сваё, але я адчуў сябе вельмі дрэнна нават таму, што калега паляк убачыў, як адносяцца рускія да беларусаў. Назаўтра, пры нагодзе сустрэчы ў каардынатара, Здзісь запытаў мяне: „Вася, ці гэта праўда, што ты з'яўляешся сынам нейкага белагвардзейца?" Адкуль гэткае штосьці нарадзілася ў тваім кепелэ? — запытаў я ў сваю чаргу Здзіся. Я ведаў, што мой дзед служыў у царскай лейбгвардыі, але ніколі не быў царскім афіцэрам, хаця меў нейкі медаль ці крыж святога Георгія, але ніколі нікому аб ім не гаварыў.

— А мне сказаў наш сябра, савецкі падпалкоўнік.

— А, калі табе сказаў савецкі контрразведчык, — абурыўся я, — то каму ты павінен верыць: мне, ці яму? Пэўна, што ён лепш ведае хто я, чым я сам. – Зарагаталі мы абодва і разыйшліся.

2. Калісьці я быў у Жабінцы, як турыст. Зайшоў у сельска-гаспадарчы магазін, каб купіць ножык-складанчык. Увайшоў у адчынены магазін, а там нікога няма. Крычу: — „Есть здесь кто-нибудь?"

Недзе з-за сцяны чую: „Чего вам надо?" Ну, я просто хочу что-нибудь купить.

— Сейчас выду.

Выйшла з кладоўкі прыгожая жанчына і малодшая за яе касірша, ды адразу да мяне з прапановай: Прыходьтэ до нас працюваты.

— Добра, я вельмі ахвотна прыйду, толькі перавядзіце мяне цераз граніцу і дайце кватэру.

— А колы вы від нас утэклы, та вжэ нэ вэрнэтэсь, — з прыціскам дакорлівасці сказала прадаўшчыца. А людзі, якія ўжо паспелі перада мной заняць чаргу да касы, у тым адзін лейтэнант, глядзелі на мяне як на шпіёна і маўчалі. Я падыйшоў да касы, заплаціў і хутчэй уцёк з магазіна, быццам сапраўдны віноўнік.

3. Давялося мне сустрэцца службова з Асобым аддзелам аднаго з авіяпалкоў Паўночнай групы войск СССР. Ужо пры першай размове начальнік гэтага аддзела запытаў мяне, адкуль я так добра ведаю расейскую мову. Я засмяяўся і адказаў, што не так ужо й добра ведаю, але калі яму так паказалася, гэта нічога дзіўнага, бо я па нацыянальнасці беларус. Вы беларус? — перапытаў мяне афіцэр — і абразіў: — Парадачныя беларусы ўсе выехалі пасля вайны ў Савецкі Саюз.

— Раз я непорядочный, мне нет о чем с вами говорить.

— Да, вы езжайте домой, а мы с делом как нибудь справимся.

На маё месца паехаў другі; распрацаваў полк да апошняй шрубкі і не ведаю, па той ці іншай прычыне, уцёк на Захад.

Вось вам прыклад погляду на нас розных савецкіх грамадзян, якія ніколі не верылі сваім , а заўсёды — чужым. Адны нам не верылі, а другія баяліся, як чорт крыжа. Аб чым жа сведчыць факт, што на працягу дзесяткаў гадоў не заглянуў да БГКТ ніхто з афіцыйных прадстаўнікоў пасольства ці савецкіх консулятаў? Яны баяліся, што палякі прызнаюць іх „персонамі нон грата" і выганяць у Расію. Калі не памыляюся, дык першым, які асмеліўся наведаць Беласток і даведацца, што тут жывуць беларусы, быў генеральны консул Хведар Міцыцел. Але гэта вельмі нядаўна.

Трэба спадзявацца, што зараз адносіны пераманіліся, але яшчэ доўга будзе цягнуцца „хвост" былых адносін паміж панамі і „хамамі".

ВАСІЛЬ ПЕТРУЧУК

Wojny nie było ?

Postrzeganie przeszłości przez pryzmat jednostek jest przeważnie mylące. Dlatego też przytoczone poniżej dokumenty należy widzieć jako świadectwa pojedyńczych wydarzeń lat powojennych, które dotyczą konkretnego miejsca oraz czasu. Na zbyt daleko idące uogólnienia jest jeszcze za wcześnie, ponieważ stan badań o okresie 1944-1956 na Białostocczyźnie znajduje się prawie w punkcie wyjściowym.

Prezentowane dwa teksty, powstałe całkowicie niezależnie od siebie, mówią najprawdopodobniej o jednym zdarzeniu, które miało miejsce 26.I.1947r. w Waliłach koło Gródka. Opisane tam polsko-białoruskie kontakty stanowią tragiczną kartę przeszłości naszej ziemi. Przyznanie się przez jednego z członków organizacji WiN /następcy AK/, że uczestniczył on w zmuszaniu ludności białoruskiej ze wsi Planty "do wyjazdu na tereny rosyjskie" nie świadczą, iż wszyscy Polacy zachowywali się podobnie. Represje ze strony bojówek WiN lub NZW, które działały na Białostocczyźnie, dotykały także ludność polską. Oczywiście w przypadku Białorusinów, represje bojówek polskiego podziemia były o wiele bardziej wyraziste, a kontekst narodowy przysłaniał inne uwarunkowania. Do mitów należy także zaliczyć stwierdzenie, iż Białorusini to "ubecy" - chociaż przytoczony fakt /zamordowany J.Grycuk z Walił był pracownikiem UBP w Białymstoku/ niejeden domorosły historyk określi jako "niezbity dowód". W całej Polsce było ok. 20 tys. pracowników UB i tylko we wschodnich powiatach woj. białostockiego /białostockim i bielskim/ Białorusini stanowili większość, ale na tych ostatnich terenach ludność białoruska przeważała żywioł polski. I trzeba wiedzieć, że to nie dzięki UB /lub NKWD/ z Białostocczyzny do BSRR wyjechało ponad 35 tys. Białorusinów.

Publikowane dokumenty znajdują się w AP w Białymstoku.

Materiał przygotował
Sławomir Iwaniuk.

Z oświadczenia Bronisława Fiedusika, ps. "Wicher", szeregowego członka WiN obwodu sokólskiego.

Do nielegalnej organizacji "WiN" zostałem zawerbowany wiosną 1946r. przez Korza Ignacego, ps."Kos", ówczesnego d-cę drużyny. Po złożeniu przysięgi na ręce Łukaszewicza, ps. "Gałązka", otrzymałem ps. "Wicher". Broń palną K.B.K. otrzymałem w żniwa 1946r. od "Gałązki" - Łukaszewicza Karola. Będąc członkiem nielegalnej organizacji "WiN" brałem udział w zmuszaniu ludności białoruskiej ze wsi Planty, gm. Szudziałowo do wyjazdu na tereny rosyjskie, udział w tej akcji brał Kazimierz Kazimierowicz, ps."Cietrzew", trzej bracia Galicze Jan, Kazimierz i Walerjan, zamieszkali w Szudziałowie, Krugły Tadeusz, ps. "Miłosny", ps. "Nowina" imię Stanisław, ps. "Słońce" - Karczewski Franciszek i Łukaszewicz Karol, ps."Gałązka". W drugiej akcji brałem udział we wsi Waliły, gm. Gródek. Wzięliśmy tam bieliznę i żywność oraz został spalony budynek, z którego zaczęto do nas strzelać w chwili podchodzenia do niego. W trzeciej akcji brałem udział około wsi Słuczanka, gm. Gródek w czasie zetknięcia się z grupą wojsk polskich, lecz po wymianie kilku strzałów wycofaliśmy się. Było nas wtedy czterech, tj. "Nowina" - obecnie nie żyje, ja, "Gałązka" i "Słońce", w czwartej akcji we wsi Planty, w czasie zetknięcia się z wojskiem w m-cu lutym 1947r. został wtedy zabity "Nowina". Poza tym nie brałem udziału w żadnej akcji. W czasie swojej przynależności ukrywałem się wraz z "Gałązką", "Nowiną" i "Słońcem" w bunkrze, w lesie pomiędzy Borsukowiną a wsią Sosnowik - znajdował się on około 1 km od wsi Sosnowik.

Bronisław Fiedosik

Z oświadczenia Konstantego Grycuka

Dnia 26.I.1947r. o godz. 18-stej przyjechał mój syn Grycuk Jan do domu, to jest do wsi Waliły, gm. Gródek; o godz. 18-stej przyszedł do mego syna Jana kolega Adamczyk Władysław mieszkaniec wsi Waliły. Mniej więcej o godz. 19-stej wraz z Adamczykiem Władysławem udał się na wartę nocną chroniącą od złodziei, względnie od pożaru mój syn Andrzej. Około godz. 21 minut 15 pod moje mieszkanie podeszło około 6-ciu osobników, zapukali do domu, powiedzieli "otwieraj przyjechała Milicja", a potem mówili "to my twoi koledzy z U.B.P.", na co mój syn Jan zerwał się z łóżka i zaczął ubierać, to oni zaczęli w okna stukać i mówili "prędzej otwieraj sk... albo ubieraj się szybko". Natomiast żona mego syna podeszła do okna i mówi "czego chcecie panowie", a oni powiedzieli "to te same co było wesele". Następnie oni zaszli od podwórza, wyłamali okna i zaczęli wchodzić do mieszkania. Kiedy jeden z nich wchodził przez okno, to syn mój wziął karabin i mówi "wszystko jedno żywcem wam się nie dam", zaczął strzelać i do swej żony mówi "podaj naboje", po czym oni zaczęli rwać okna i wchodzić. Kiedy mój syn nadal się bronił, to oni odstąpili od okien na ulicę i zaczęli strzelać z automatów i R.K.M.-mu. Strzelanie trwało około pół godziny, następnie już zegar wybijał godzinę 22-gą, kiedy mój syn mówi "ja już dostałem", to znaczy został raniony w głowę i upadł z karabinem w ręku, natomiast bandyci strzelali nadal. Kiedy postrzelali jakieś 10 minut, to później zaczęli podchodzić ponownie pod okna i krzyczeli "zdajesz się, czy nie sk..., jak nie to cały dom spalimy", a mój syn już leżał zabity. W czasie walki tej żona moja została raniona w nogę, rękę i plecy, i krzyczała "panowie dobijcie mnie", to oni mówili "szkoda na tą starą kul i tak ją spalimy żywą", i zaczęli palić zabudowania. Najpierw zapalili stodołę, chlew i mieszkanie. Kiedy już się zabudowania paliły, to oni wsiedli w sanie i odjechali na koniec wsi i zaczęli szukać sanitariusza, znaleźli go i kazali mu robić opatrunek swym kolegom, gdyż dwóch od nich było rannych, jeden w głowę, drugi w plecy. Nazwisko sanitariusza Gacko Antoni, zam. wieś Waliły, gm. Gródek i odjechali w stronę lasu.

W czasie kiedy szukali sanitariusza do ludzi mówili "jeżeli będziecie pomagać gasić, to zapalimy całą wieś i będziecie się tak palić jak oni". Po dokonanym wypadku, kiedy bandyci byli na końcu wsi, to zachodzili do sołtysa Dzienisika Aleksandra. Sołtys może powiedzieć, gdzie oni jeszcze zachodzili.

Konstanty Grycuk

Poznawanie Białostocczyzny



Fot. Sławomir Iwaniuk

Pod koniec czerwca dróżkami i bezdrożami ciągnącymi się po obu brzegach rzeki Narew - od gminnego miasteczka Narew do wsi Ploski - wędrowała młodzież mieszkająca na co dzień w Białymstoku, Bielsku Podlaskim i Hajnówce, poznając przy tym piękno naszej ziemi, jej mieszkańców oraz zabytki kultury. Od środy do niedzieli rajdowicze pokonali o własnych nogach kilkadziesiąt kilometrów, zatrzymując się na noclegi w Janowie, Ciełuszkach i Rybołach. Organizatorem tej imprezy był hajnowski ośrodek niedawno powstałego Związku Młodzieży Białoruskiej.

W czasie kilku dni spędzonych razem były długie rozmowy przy ognisku, wspólne posiłki oraz moczenie zmęczonych ciał w rzece, ale przede wszystkim długi marsz i to w mocno świecącym słońcu. Wszystko to pozostanie w pamięci uczestników wędrówki, którzy na pewno lepiej się poznali, sprawdzili swoje umiejętności i chyba czegoś się nauczyli.

Młodzież, stykająca się z mieszkańcami wsi, przez które wiodła trasa rajdu, spotykała się z dużą ich życzliwością oraz z bezinteresowną białoruską gościnnością i tym wszystkim dobrym ludziom należą się szczere słowa podziękowania. **Dziękujemy!**

(Wir)

ECHA WIZYTY

dok. ze str. 2

Drugi to ten, że znajomość problematyki białoruskiej wśród polskich dziennikarzy (teoretycznie przynajmniej - jednej z bardziej światłych grup zawodowych każdego społeczeństwa) jest zastraszająco niska. Źródeł takiego stanu rzeczy jest kilka, a najważniejszym wydaje się być niedocenianie wschodniego sąsiada, jeszcze nie tak dawno będącego swego rodzaju polską kolonią.

Podsumowania nie będzie, trudno bowiem przewidzieć, co przyniosą nam wydarzenia najbliższych lat. Wydaje się jednak, że z korzyścią dla wszystkich byłoby, by stosunki polsko - białoruskie nabrały cech partnerstwa, bo jest to podstawowy warunek zgodnego sąsiadowania i korzystnej współpracy.

(j.k.)

Poprawka

W komentarzu do pisma Starostwa Bielskiego, zamieszczonym w rubryce "Wyszperane w archiwum" /"Czasopis" nr 5 z b.r./ zakradła się korektorska pomyłka. W zdaniu dotyczącym wybitnych duchownych cerkwi w Czarnej Cerkiewnej zostało pominięte nazwisko o. **Aleksego Wołkowskiego** oraz przeinaczone imię o. **Piotra Kuźmiuka**. Całość zdania winna brzmieć następująco: **"Niebagatelny wpływ miały tu postacie takich wybitnych duchownych jak o. Kalist Ralcewicz, o. Aleksy Wołkowski, o. Piotr Kuźmiuk."**

Przepraszamy.

NASZE RECENZJE

Ruś tysiąc lat chrześcijaństwa

Przez trzy lata fotografował pielgrzymki biednych ludzi i uroczyste liturgie celebrowane z całym przepychem wschodniego obrządku. Teraz wydał nowy album - "Ruś - tysiąc lat chrześcijaństwa". Długa wyprawa, którą znakomity fotografik Adam Bujak odbył w głąb Rusi, przyniosła poruszającą serce dokumentację. Na fotografiach Bujak odkrywa bogatą historię Rusi, jej sztukę i kulturę. Ale przede wszystkim chrześcijaństwo Rusi, czas jego męczeństwa i zmartwychwstania, a tym samym bogactwo duchowe i sztukę Kościoła prawosławnego.

Swą artystyczną i kronikarską wędrówkę zaczyna zdjęciami Dniepru w Kijowie, tam gdzie chrzczono pierwszych ruskich chrześcijan. Dalej przedstawia cały przekrój - cerkwie zachodniej Ukrainy, Syberii, Wyspy Sołowieckie, odradzające się klasztory, skromne świątynie i bogate sobory.

Adam Bujak od wielu lat dokumentuje życie religijne nie tylko katolików, ale także innych wyznań. Od dawna fascynował go mistycyzm Prawosławia, i jak wyznaje we wstępie do swojego albumu, podczas wędrówek po świecie nie porzucił tej fascynacji i wtedy, gdy był w Ziemi Świętej, a także gdy dokumentował najważniejsze momenty pontyfikatu Jana Pawła II.

"Ruś - tysiąc lat chrześcijaństwa" - to plon wielkiego pielgrzymowania po całej Rusi. Artysta śledzi, jak odradza się życie religijne po okresie brutalnych represji (po rewolucji i dalszych latach zniszczenia ponad 90% świątyń i ich wyposażenia było zniszczone). "Z moim aparatem fotograficznym - zwierza się artysta - trafiłem do prawie wszystkich najistotniejszych miejsc na Rusi, które kształtowały naród przez tysiąc lat. W mojej pracy nie szukałem najmniejszej sensacji czy ciekawostek. Interesowała mnie zawsze istota Kościoła".

oprac. A. Gawryluk

A.Bujak, Ruś - tysiąc lat chrześcjaństwa, Warszawa 1992, wyd.1, s.320.

Здарэнне з гісторыі бельскіх званоў

Наведаўшы ў адзін зімовы дзень гасцінны дом старога бельшчаніна Захарыя Шаховіча, я пачуў ад яго цікавы расказ. З увагі на гістарычную каштоўнасць расказа, я вырашыў яго запісаць ды змясціць на старонках „Часопіса".

* * *

Было гэта ў 1943 годзе, калі немцы былі ў нас. Выйшла распараджэнне, каб усе званы, не толькі ў Бельску, а то і наогул усюды, зняць на пераплаўленне на снарады. Мне, як будаўлянаму кіраўніку, мой шэф-немец даў прыказ арганізаваць фуры і людзей ды са ўсіх цэркваў і касцёлаў зняць званы і адвезці; толькі не сказаў куды. Прыказу не супрацівішся, сарганізаваў я людзей і сталёвую ліну...

Найперш паехалі ў касцёл (фарны). Заязджаю ў касцёл, заходжу да ксяндза Сакалоўскага і гавару:

— *Proszę księdza, ciężka misja mi przypadła, mam polecenie od szefa, żeby zdjąć dzwony.*

— *Trudno, takie polecenie, zmieniać go nie bedę. Proszę bardzo*, — адказаў ксёндз.

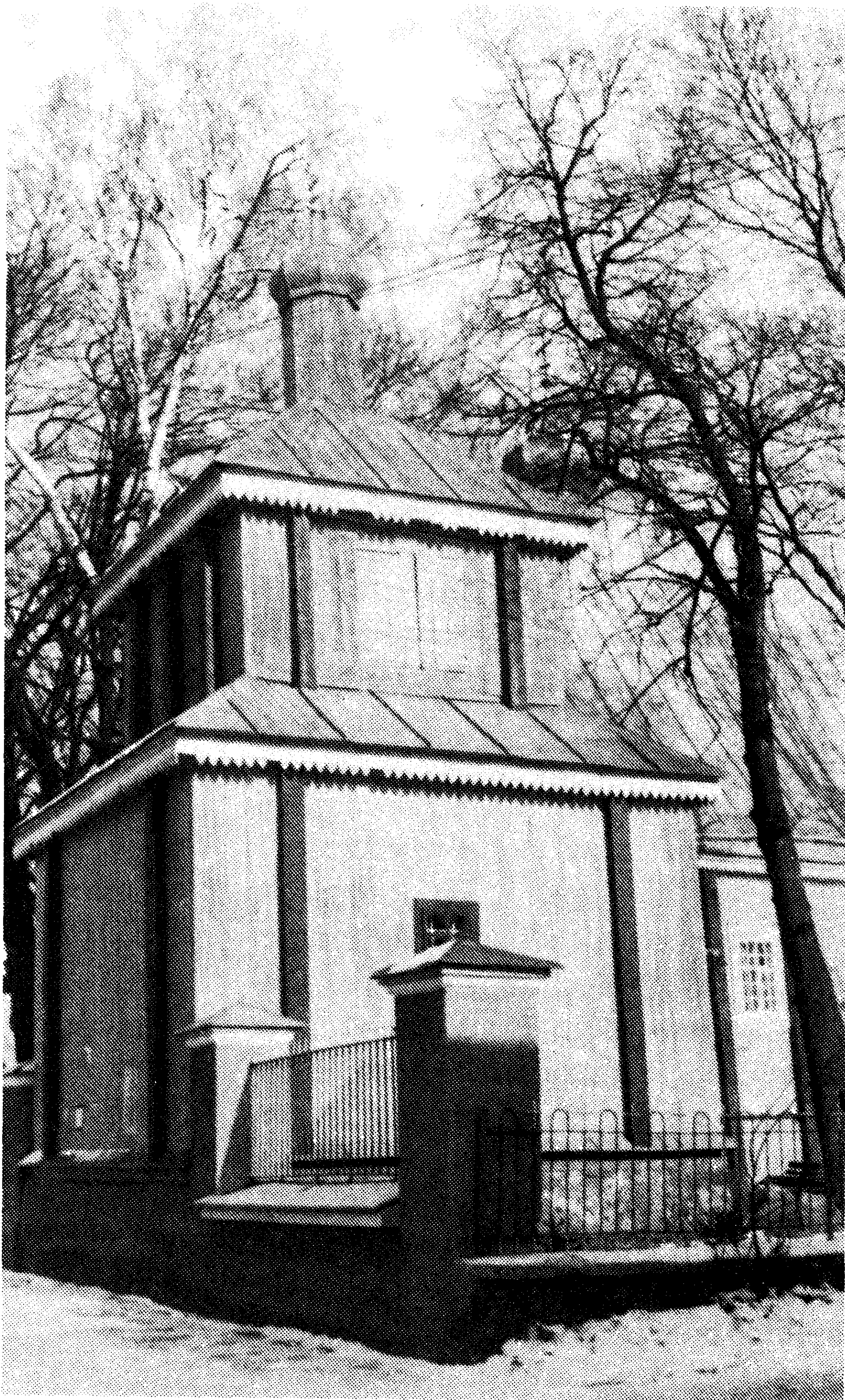
І разам са мною пайшоў ён на званіцу. Паглядзелі мы, там было два званы, фундаваныя дэканам Бароўскім. Давай мы іх раскручваць, але, кажу я да работнікаў, каб сэрцы ад званоў усе павязаць дротам і пакінуць: можа нам прыдадуцца, калі ізноў будзем званы вешаць. Тады ксёндз сказаў мне: *Bodaj te pana słowa swięte były.*

Мы знялі тыя два званы, палажылі на воз і павязлі. Толькі была праблема: дзе іх паставіць, я не меў жа на тое ніякага распараджэння.Зрабіў я месца каля складу і там паставіў. І тады паехалі мы да пакармеліцкага касцёла. Там былі два званы. Адзін з іх вялікі — 90 пудаў. Забралі мы тыя званы, прывезлі і паставілі там, дзе папярэднія.

Затым падаліся да Міхайлаўскай царквы. Там настаяцелем быў тады а. Дзмітрый Стэмпкоўскі. Прыехалі мы да бацюшкі і кажу я, што прыехалі мы зняць званы. А. Дзмітрый відаць знерваваўся з-за гэтага, не хацеў зусім прыняць таго да ведама, але праз хвіліну, відаць, перадумаўшы , сказаў нам: *Вярніцеся, здымайце...* Мы пайшлі здымаць. Званы былі тут невялікія, прывязаныя дротам.

Далей паехалі мы за званамі да Прачысценскай царквы. Знялі мы ўсе званы, было іх тут аж пяць. Настаяцель а. Крукоўскі нічога нам не гаварыў. Затым паехалі да Уваскрасенскай царквы. Тут былі званы хіба найбольшыя з усіх бельскіх цэркваў. Калі мы ўсе званы прывезлі на пляц, палажылі лігары, каб не стаялі яны на зямлі.

На другі дзень да нашага прадпрыемства прывезлі транспарт дошак. Я таксама быў адказны за гэты транспарт. Рашаючы, куды пакласці дошкі, кажу работнікам: *Давайце пакладзем дошкі на званы.*



Званіца Прачысценскай царквы ў Бельску.

Дошак было два вагоны, і ўсе мы палажылі на званы.

Ну ды што? Так і засталося. Шэфанемца паклікалі ў войска, прыйшоў другі шэф. Пасля нейкага часу прыходзіць ліст з Кенігсберга з запытаннем, ці званы зняты. І тут новы шэф паклікаў мяне ў кабінет. Пытаецца, ці званы знятыя? А пасля даў нейкі фармуляр і дае выпаўніць: *Unterschreiben*!, кажа мне падпісаць. І ён гэтае пісьмо выслаў у Кенігсберг... І на гэтым канец.

А званы як стаялі, так стаяць пад дошкамі. Дошкі мы бралі пакрысе да рамонтаў. А пра званы дык ніхто ўжо і не пытаў.

Мінула паўгода, а можа і больш. Пачаўся прыбліжацца да нас фронт. Я з сям'ёю выехаў у Стрыкі, там у лесе тры тыдні жылі ў зямлянцы. У ноч, у якую адступалі немцы, я прыехаў у Бельск. На другі дзень прыйшоў паглядзець на званы. А яны як стаялі, так стаяць. Я гэтым вельмі ўцешыўся і адразу пайшоў арганізаваць транспарт, каб можна было званы перавезці назад. І так званы трапілі ізноў на належныя ім месцы — званіцы бельскіх храмаў.

Званы вярнуліся, і цяжка мне да сёння ўсведаміць, як гэта ўсё адбылося — можа гэта цуд быў? Немцы не пыталі ж, дзе званы, я не гаварыў, дзе стаяць. А вось, каб немцы даведаліся, што яны схаваныя (бо на тое выглядала), расстралялі б мяне і ўсю маю сям'ю!

Гэтыя званы па сённяшні дзень звоняць у Бельску. Аб той, даволі асаблівай гісторыі ніхто не знаў. І аж страшна падумаць, што з тых званоў маглі быць снарады, ад якіх гінулі б людзі...

Тут падумалася мне, як нават у такія цяжкія часіны можна памагчы ўсім добрым учынкам.

ЗАХАРЫЙ ШАХОВІЧ
(запісаў М. Сахарэвіч)

Białorusko-polska wojna o Zachodnią Białoruś

5. Partyzantka Wiery Masłowskiej i Hermana Szymaniuka

Ruch partyzancki, mający swe inspiracje w Litwie Kowieńskiej, z różnym nasileniem wystąpił na całej Białorusi Zachodniej. Istotnym jego elementem była również działalność oddziałów partyzanckich w powiatach bielskim, białostockim i sokólskim.

Głównym organizatorem eserowskiej organizacji zbrojnej na omawianym obszarze była Wiera Masłowska. Urodzona w Ogrodniczkach 24.03.1896 r. w biednej rodzinie chłopskiej, z polityką białoruską styka się w Wilnie na kursach pedagogicznych. Tam też aktywnie włącza się w działalność rewolucyjną. Po powrocie z Wilna Masłowska pracuje jako nauczycielka w szkole w Grabowcu (koło Dubicz Cerkiewnych). Tam też odnawia znajomość z Hermanem Szymaniukiem, przyszłym towarzyszem zmagań partyzanckich.(1) Życiorys Szymaniuka nie jest dokładnie znany. Faktycznie jedynym w miarę kompletnym kompendium wiedzy na jego temat jest opracowanie Bazylego Pietruczuka, tak jak Szymaniuk pochodzącego z Grabowca.(2) Herman Szymaniuk urodził się w 1893 r. we wsi Grabowiec (gmina Orla). W wieku kilkunastu lat Szymaniuk wyjeżdża do Moskwy. Tam pracuje w Teatrze Wielkim (stąd zapewne jego późniejszy pseudonim partyzancki – Skamaroch), jednocześnie kończy gimnazjum. Po powrocie do Grabowca angażuje się w wir działalności politycznej. *"Chciał on niezależnej Białorusi, w granicach której byłaby też Białostocczyzna i Litwa."*(3)

W początkowym okresie praca konspiracyjna polegała na nawiązywaniu kontaktów z ludźmi i organizowaniu antypolskiej akcji agitacyjnej. W działalności tej wykorzystywane były najczęściej kontakty osobiste, stąd nie mogła ona przynieść dużych rezultatów. Najsilniejsze grupy poparcia istniały w powiecie bielskim (wsie: Grabowiec, Dobrywoda, Czechy Orlańskie, Witowo, Mołoczki, Białowieża) i sokólskim. Dostępny nam materiał źródłowy nie odnotowuje przejawów aktywności tej organizacji w powiecie białostockim. W latach 1921-22 cała akcja była dopiero w stadium organizacji, a informatorzy i sami członkowie organizacji byli niejednokrotnie ludźmi przypadkowymi, mało zorientowanymi w polityce. Najczęściej byli to chłopi, którzy w zamian za wpisanie na listy oddziałów otrzymywali niewielkie sumy pieniędzy.(4) Ogólną liczbę członków organizacji działającej na omawianym terytorium trudno jest ustalić. Wynika to z wymogów konspiracji, jak też z niekompletnej bazy źródłowej. B. Nikitiuk pisze, że oddział Hermana Szymaniuka operujący w okolicach Kleszczel liczył ponad 200 osób pochodzących z tej osady i okolicznych wsi.(5) Tajemnicą pozostaje, skąd autor wziął tę liczbę. Wydaje się być ona zawyżoną, a najbardziej prawdopodobne jest, że było to kilkadziesiąt osób.(6)

Masłowska i Szymaniuk nawiązali ścisłe kontakty ze sztabem czwartej grupy eserowskiej organizacji powstańczej w Mereczu i jej dowódcą - kapitanem Wiacześławem Razumowiczem (pseudonim Chmara).

Organizacja powstańcza Chmary-Razumowicza opierała się na pełnomocnictwie udzielonym mu 15.10.1921r. przez Centralę Strzelców Litewskich. Siedziba sztabu została urządzona w miasteczku Merecz, a do zarządu grupy należeli między innymi: księża katoliccy Bakszic i Blazujalis (zabici potem w walkach), profesor gimnazjum Meszkinc, protojerej Korczyński i Chmara-Razumowicz.(7)

W lecie 1922r. powstańcy atamana Chmary, rozsiani po licznych białoruskich wsiach, liczyli około 8 tys. ludzi. Ich działalność opierała się na paragrafie 89 tajnej instrukcji generalnego sztabu litewskiego. Według niej, oddziały dowodzone przez Razumowicza miały, na wypadek wojny, wspomagać armię litewską. Ich działalność była tym bardziej dogodna, że z zupełną swobodą mogły poruszać się w pasie neutralnym (linia marszałka Focha do stycznia 1923r.), do którego oddziały polskie i litewskie nie miały wstępu. W roku 1922 grupy te osiągnęły znaczny stopień zorganizowania.(8)

Członkami organizacji na Białostocczyźnie byli przedstawiciele różnych grup społecznych. Dominowali chłopi, ich rola jednak sprowadzała się li tylko do wykonywania rozkazów. Spośród innych grup zawodowych spotykamy: nauczycieli, byłych podoficerów armii rosyjskiej, sklepikarzy, kolejarzy, urzędników administracji państwowej, psalmistę, felczera, szewca i innych. Ogromną większość stanowili Białorusini.

Już w początkowym stadium organizacja miała charakter militarny. Świadczą o tym częste kontakty ze sztabem w Mereczu i przemyt broni przez granicę do Polski. Przemyt broni i amunicji przez granicę możliwy był dzięki Kazimierzowi Wojtkiewiczowi, oficerowi armii litewskiej. Polskie służby policyjne ustaliły, że Wojtkiewicz, na rozkaz dowódcy swego pułku, przychylił się do prośby atamana Razumowicza i kilka razy przepuścił przez most na Niemnie wozy z amunicją i bronią: 23.02.1922r. - dwa wozy z bronią i amunicją, 3.03.1922r. przez wieś Puhacze jeden wóz z bronią i 8.03.1922r. jeden wóz z 10 karabinami, granatami i trzema tysiącami naboi.(9) O dalszym losie tych transportów brak danych. Możemy jedynie przypuszczać, iż ich adresatem był któryś z oddziałów partyzanckich.

Według informacji uzyskanych przez władze bezpieczeństwa, na początku marca 1922r. miało dojść do aktywnych wystąpień zbrojnych. W związku z tym 2 i 3 marca 1922r. policja dokonała licznych aresztowań zarówno wśród szeregowych członków organizacji, jak i jej kierowniczego aktywu. Wśród aresztowanych znalazła się również Wiera Masłowska, czołowy oraganizator tego ruchu. Od tego momentu nastąpiła radykalna zmiana w strategii pozostałych na wolności członków oddziału.

Po aresztowaniach pozostała część oddziału ukryła się w Puszczy Białowieskiej. Od tego też czasu partyzanci przystąpili do działań zbrojnych. 7.04.1922 dokonano napadu na dom gajowego Jana Olelkiewicza w Witowie, 17.04. podpalono składy drewna na 102 km linii kolejowej Czeremcha - Hajnówka, własność Wileńskiej Dyrekcji Kolei Państwowych, 11.07. wysadzono magazyn broni w Grodnie na ulicy Jerozolimskiej. W tym też czasie spalono most kolejowy na Narewce w okolicy Białowieży.(10) Najśmielszą jednak akcją był napad na miasteczko Kleszczele.

Na kilkanaście dni przed tym wydarzeniem do przzodownika posterunku w Kleszczelach przysłano list pisany po rosyjsku, z pieczątką w języku białoruskim "Bractwo Włościan Białorusinów". Czytamy w nim między innymi: *"Panowie Bandyci policji w Kleszczelach. Stosownie*

do rozkazu atamana Skamarocha, ja, dowódca oddziału terrorystów Jan Czort uprzedzam, że jeżeli wy nie zaprzestaniecie bicia i wulgarnych drwin nad naszymi braćmi Białorusinami podczas aresztów, za wasze postępki zostaniecie powieszeni na słupie telegraficznym."(11) Sam napad nastąpił w nocy z 28 na 29 kwietnia. Po opanowaniu posterunku policji, w czasie którego zostali zabici dwaj policjanci, napastnicy zabrali stamtąd 7 karabinów z amunicją, umundurowanie, stemple, część korespondencji, pieniądze i prywatne rzeczy policjantów. Około godziny pierwszej oddział udał się do restauracji Onufrego Sawickiego. Napotkawszy opór ze strony właściciela, zabito go i włamano się do wnętrza. Z restauracji zabrano 500 tys. marek, złote pieniądze, dwa srebrne zegarki, złoty łańcuszek, ubrania, bieliznę, blisko 100 butelek wódki, likier i jedzenie. W czasie opuszczania restauracji zamordowano matkę właściciela, gdy upomniała się ona o chomąta, zabierane przez napastników. Ostatnim "wyczynem" bojówki w Kleszczelach była nieudana próba napadu na katolicką plebanię. Kleszczele opuścili na zarekwirowanej furmance.(12)

Odwetem ze strony władz państwowych była obława na sprawców napadu. W dniu 6.05.1922r. oddziały wojskowe i policja okrążyły w Puszczy Białowieskiej grupę partyzantów, i po krótkiej walce ujęły sześć osób. Za dokonane napady i zabójstwa czterech z nich zostało skazanych przez sąd doraźny na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 24.05.1922r. w Białymstoku.(12)

W czasie obławy w Puszczy Białowieskiej policja odnalazła kryjówkę oddziału Skamarocha. Wśród rzeczy pozostawionych przez sztab odnaleziono między innymi: bruliony listów wysłanych przez Skamarocha, notatki służbowe zawierające dane o członkach organizacji, aprowizacji oddziału, sześć map niemieckiego sztabu generalnego, dwa słoiki ze strychniną i część rzeczy zrabowanych w czasie akcji.

Szczególnie interesująca jest lektura listów i odezw wysyłanych przez sztab Skamarocha do urzędów i osób publicznych. Znajdujemy tam także ultimatum wysłane do Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, w którym ataman domagał się prawa dla Białorusinów do samookreślenia i samostanowienia o własnym losie, zaprzestania represji wymierzonych przeciwko Białorusinom, burzenia cerkwi prawosławnych, terroru wobec prawosławnych duchownych i działaczy białoruskich oraz powołania komisji do rozwiązania problemów społecznych.

Głos ten został dostrzeżony na forum Ligi Narodów, gdzie orędownikiem interesów białoruskich była delegacja litewska. Innym adresatem podobnego typu postulatów był prezes misji RFSRR w Warszawie. List z ostrzeżeniem przed wywózką drewna z Puszczy Białowieskiej był wysłany do Wileńskiej Dyrekcji Kolei Państwowych.

Interesującym epizodem z działalności oddziału Skamarocha było wydawanie czasopisma "Biełaruski Partyzan". Według informacji w nim zawartych, redaktorem numeru pierwszego był Herman Szymaniuk, drugiego i trzeciego - H. Plusza. Redakcja mieściła się w *"Głównym Sztabie Białoruskich Partyzantów w Puszczy Białowieskiej."* Treść pisma, to w większości teksty propagandowe w duchu antypolskim, wizerunki przywódców ruchu, odezwy i deklaracje, teksty traktujące o sytuacji politycznej w tej części Europy, a także bieżąca informacja o działalności oddziałów dywersyjnych.



Grób Wiery Karczewskiej (Masłowskiej) na cmentarzu prawosławnym w Supraślu. Taki z reguły bywa koniec wszystkich tych, którzy idei białoruskiej poświęcili najlepsze lata swego życia.

Fot. J. Choruży

Poważne wątpliwości budzi informacja, że czasopismo wydawane było w "Puszczy Białowieskiej", a jego redaktorem był Herman Szymaniuk. Pomijając bariery techniczne, które należałoby pokonać, wydaje się, że oddział Szymaniuka nie mógł robić tego we własnym zakresie choćby z tej przyczyny, że prawdopodobnie nikt z jego składu nie znał literackiego języka białoruskiego.(14) Jeżeli słusznymi są powyższe przypuszczenia, najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem istnienia tego pisma jest to, że było ono drukowane na Litwie, być może w sztabie Chmary w Mereczu (stąd pochodzą przypuszczalnie informacje na temat działalności innych oddziałów na terytorium całej Białorusi Zachodniej).

Po obławie w maju 1922r. ta część oddziału Szymaniuka, która uniknęła aresztowań, zaprzestała działalności zbrojnej. Spodziewając się dalszych prześladowań, prawie wszyscy zdecydowali się na ucieczkę do Litwy. W czasie próby nielegalnego przekroczenia granicy dwóch z jego członków zostało zatrzymanych, pozostali wrócili do rodzinnych wsi.

Los samego Szymaniuka nie jest dokładnie znany. Znamy natomiast dalsze losy ludzi zaangażowanych w działalność organizacji przez niego kierowanej. Czekał ich proces w Białymstoku, pierwszy białoruski proces polityczny w historii Drugiej Rzeczypospolitej. *cdn.*

Jerzy Kalina

Przypisy

1. J. Turonak, Zabytaja lira Wiery Muraszki, Niwa nr 10 z 5.03.1978r., U. Juźwiuk, Życciowyja supjarecznaści Wiery Matejczyk, Niwa nr 1 z 7.01.1990r.
2. W. Pietruczuk, Materyjały da historyi biełaruskaj paustanczaj arhanizacyi (maszynopis w posiadaniu autora).
3. Tamże.
4. Świadczą o tym zeznania przed sądem członków organizacji: Grzegorza Ostrowskiego, Aleksandra Androsiuka, Antoniego Jewdosiuka, Józefa Zacharczuka, Aleksego Niczyporuka i innych, w: Praces 45-ci biełarusau u Biełastoku, Wilno 1923r.
5. B. Nikitiuk, Działalność Białoruskiej Włościańsko-Robotniczej Hromady na Białostocczyźnie (lata 1926-27), w: Powstanie i działalność BWRH na Białostocczyźnie, s.35.
6. W ścisłej konspiracji do wykrycia spisku i aresztowań dokonanych 2 i 3 marca 1922 roku, pozostawało kilkadziesiąt osób, A. Babiński, Proces białostocki a ruch białoruski, Droga nr 4 (10), lipiec 1923, s.35.
7. A. Straża, Ataman Chmara-Razumowicz - biografia białoruskiego irredentysty, Warszawa 1928, s.18.
8. CA MSW, Wydział II B, Oddział II Sztabu Głównego, t.12/2. Opracowanie dotyczące białoruskiego ruchu eserowskiego.
9. Dziennik Białostocki, nr 103 z 15.05.1923r.
10. Biełaruski Partyzan, miesiaczny biespartyjny czasopis zmaharou za Baćkauszczynu, nr 2-3, wierasień-kastrycznik 1922h.
11. Na liście widniała data 8.04.1922r. i podpis "Komendanta oddziału partyzantów - Jana Czorta".
12. Tamże.
13. Rozstrzelano: Andrzeja Tomaszuka (lat 21), Jana Zacharczuka (lat 24), Jana Piceluka (lat 20) i Demiana Martyniuka (lat 36), Biełaruski Partyzan, nr 1 , żniwień 1922, s.4.
14. W czasie zeznań w późniejszym procesie członków organizacji, za wyjątkiem kilku osób, pozostali mówili w dialekcie białoruskim, po polsku lub po białorusku.

Aleksandra Pawluczuk

Pocztówki z Grabarki

(zakończenie)

Idę do najbliższego sektoru. - Jak wam się podoba tegoroczna majowa pielgrzymka? - Strasznie! - Strasznie?! - Tak, bo mam kosz na śmieci pod samym nosem. Po chwili dodaje: Oprócz tego kosza to mi się tutaj wszystko podoba. Włącza się kolega - Referat był trochę za długi. A zrozumiałeś go? (pojawia się promienny uśmiech) - Ja w połowie wyszedłem. Reszta grupy była zgodna - jest fajnie, dobrze, świetnie, ekstra...

W następnej grupie magnetofon wzbudza sensację i każdy chce coś powiedzieć. - No pewnie, że jest potrzebna (zaczął jakiś odważniejszy), żeby spotkać przyjaciół, no i tego... Pomodlić się - kończą inni. Po jakimś czasie spotykam wreszcie batiuszkę. Otcze, można prosić o słówko o pielgrzymce? - Młodzi ludzie, którzy chcieli znaleźć tu miejsce, ci co przyjechali na modlitwę, na pielgrzymkę do Boga, znajdują je. A młodzież, która nie potrafiła znaleźć swego miejsca, tu też go nie znajdzie. Ale wszyscy cieszą się z możliwości obcowania z tym świętym miejscem.

Opuszczam sektor. Przy stoisku z białoruskimi wydawnictwami spotykam koleżanki. - My tylko na godzinę. A przyjechałyśmy po prostu z potrzeby przyjechania w to miejsce.

Niedaleko na trawie odpoczywają dwie dziewczyny i chłopak. Dziewczyny bronią się jak mogą, za to chłopak wypowiada się w imieniu całej grupki: - Uważam, że było to wielkie przeżycie duchowe. Zetknięcie się z tymi masami młodych ludzi wstrząsnęło nami do głębi.

Moją następną "ofiarą" jest młoda dziewczyna, sprzedaje płyty. Pytam o cele. - Cele są różne. Na Grabarce jestem już nie pierwszy raz, i w ciągu tych lat przyjazdów cele się zmieniały. Najpierw szukałam swego miejsca wśród prawosławnych i odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Teraz przyjeżdżam przez sentyment...Grabarka ma taki nieodparty urok. Człowiek przyjeżdżając tu zostawia problemy poza sobą. Tutaj wszystko jest jakby w innym wymiarze. Co roku powtarza się ten sam scenariusz i przychodzi refleksja, że to dzieje się co roku, jest więc trwałe, ponadczasowe, i mimo to, że ja już odchodzę, to przyjdą inni i będą to kontynuować.



Fot. Sławomir Iwaniuk

Pomiędzy kotłami krzątają się dziewczyny i chłopcy. Wszyscy uśmiechnięci, choć zmęczeni. Proszę o kubek kawy i sama nawiązuję rozmowę. Jeden z chłopców jest z mieszanej rodziny. - Ojciec jest prawosławny, matka katoliczka, a ja jeżdżę na pielgrzymki z jednymi i drugimi. I chociaż jestem chrzczony w kościele, wcale się nie obrażam, jak ktoś powie że jestem prawosławny.

Trzeba kończyć tą zabawę w reportera, bo zaraz Wieczernia. Modlitwy trwają jakoś krótko. A potem ognisko mija w mgnieniu oka. Wszystko nakłada się w jedną całość, wszystko do siebie pasuje i tworzy nierozerwalną jedność. W układance, obok gwiaździstego nieba, mgła nad strumyczkiem, tysiące świeczek nad ogniskiem, mrugające światełka jak świetliki. Swoje miejsce mają też wiersze przeplatane to śpiewem, to szumem wiatru. A nad wszystkim, pogrążona w mroku, zasłuchana w ciszy, zamyślona - Święta Góra.

Jakoś nie wiem, kiedy kończy się sobota, a zaczyna niedziela. Połunosznica, Utrenia i Spowiedź. Modlitwy wieczorne i zaraz świt. Sen nie przychodzi nawet na pięć minut; oczy same się otwierają, jakby chciały jeszcze raz się nasycić widokami, zapamiętać to miejsce, bo przecież niedługo wyjeżdżamy. To "niedługo" minęło bardzo szybko. Pakujemy plecaki, zwijamy namioty. Wyruszamy. Ale jeszcze chwila, trzeba się pożegnać z Górą. No cóż - komu w drogę, temu czas. Idzie się jakoś ciężko. Czyżby przybyło coś w plecaku? Chyba tak. Nowe doświadczenia, nadzieja, wspomnienia.

VI PIELGRZYMKA PIESZA BIAŁYSTOK - ŚW. GÓRA GRABARKA 14-19.08.1992

Informujemy, iż **14 sierpnia br. rozpocznie się kolejna pielgrzymka piesza do Św. Góry Grabarki.** Zbiórka pielgrzymów tradycyjnie w parafii Św.Eliasza w Dojlidach o godz. 9.00. Po Liturgii, ok. godz. 12.00, pielgrzymi wyruszą na trasę.

Koszt uczestnictwa wynosi 50 tys. zł.

Organizatorzy zapewniają: Bohohłasnik, okolicznościowy znaczek, ubezpieczenie, transport i posiłek.

Należy ze sobą zabrać śpiwór i kubek, wskazane byłoby mieć także menażkę i łyżkę.

Zapraszamy serdecznie młodzież, jak też osoby starsze.

Bractwo Młodzieży Prawosławnej

1992.08.14. I ETAP (28 km)
Białystok(Dojlidy)-Zabłudów-Ryboły

1992.08.15. II ETAP (25 km)
Ryboły-Rajsk-Bielsk Podlaski

1992.08.16. III ETAP (19 km)
Bielsk Podlaski-Knorydy-Boćki-Dubno

1992.08.17. IV ETAP (29 km)
Dubno-Sasiny-Milejczyce-Żerczyce

1992.08.18. V ETAP(12 km)
Żerczyce-Św. Góra Grabarka

Ludność i religia gminy Dubicze Cerkiewne

Gmina Dubicze Cerkiewne jest jedną z 49 gmin województwa białostockiego. Graniczy ona z gminami: Hajnówka, Czyże, Orla i Kleszczele oraz przez granicę państwową z Białorusią.

Ludność gminy Dubicze Cerkiewne liczy 2744 osoby (1988r). Na 100 mężczyzn przypada 97 kobiet. Główne źródło dochodów daje rolnictwo, z którego utrzymuje się aż 1907 osób, czyli 78,8% ogółu ludności. Przeważają gospodarstwa o powierzchni 10-15 ha. Ludności czynnej zawodowo jest 69,4%. Wśród ludności biernej zawodowo przeważa ludność starsza (60 i więcej lat) - 28,4%, nad ludnością młodszą (0-17 lat) - 17,7%. Przeciętnie w jednym mieszkaniu zamieszkuje 2,99 osób, a na jedną izbę przypada 0,9 osoby. Gęstość zaludnienia wynosi 18 osób na km^2 Średni ubytek ludności w latach 1978-1988 wynosi 2,2%.

Prawie w 100% zamieszkuje tu ludność pochodzenia ruskiego.(...) Ludność zamieszkująca wschodnią część gminy nazywana jest potocznie Litwyny (Litwini). Ludność płn.-zach. części gminy (Stary Kornin, Koryciska, Jagodniki) nazywana jest Sztokmany. Jest to spowodowane wymawianiem często używanego wyrazu "co" w formie "szto".

Jeżeli chodzi o przynależność religijną, to zdecydowana większość ludności wyznaje Prawosławie. Na terenie gminy istnieje trzy parafie prawosławne, należące do dekanatu Hajnówka. Parafia w Werstoku posiada filię w Opace Dużej (gm. Kleszczele). Parafia w Starym Korninie posiada filię w Morzu (gm. Orla). Parafia w Dubiczach Cerkiewnych posiada filię w Sakach (gm. Kleszczele), która w tym roku stała się samodzielną parafią. Kolonia Jakubowo, należąca wcześniej do parafii Werstok, od 1983 roku weszła w obręb nowo erygowanej parafii Orzeszkowo (gm. Hajnówka).

W Dubiczach Cerkiewnych istnieje również zbór Kościoła Zielonoświątkowców, liczący 49 wyznawców. Posiada on dom modlitwy przy ul. 40-lecia PRL nr 112. Pastorem jest Jan Kondraciuk ze wsi Reduty, gm. Orla. Wyznawcy pochodzą z następujących wsi: Dubicze Cerkiewne - 5, Czechy Orlańskie - 4, Grabowiec - 2, Tofiłowce - 5, Koryciska - 3, Jelonka - 6 oraz z terenu gminy Orla: Reduty - 21, Morze - 3. Nabożeństwa odbywają się w niedzielę w godz. 10-12 i odprawiane są w języku rosyjskim. Mogą w nich uczestniczyć wszyscy chętni. Kościół Chrześcijan Baptystów reprezentowany przez zbór w Dubiczach Cerkiewnych, liczy 28 członków ochrzczonych w wieku dorosłym: z Dubicz Cerkiewnych - 25, z Czech Orlańskich - 2, z Tofiłowiec - 1. Pastorem jest Anatol Skoworodko. Nabożeństwa odbywają się w specjalnie przeznaczonej sali w domu prywatnym przy ulicy Armii Czerwonej 11 w niedzielę w godz. 10-12 i odprawiane są w języku rosyjskim.

Świadkowie Jehowy na terenie gminy Dubicze Cerkiewne pojawili się w 1972r. Rekrutują się oni z tutejszej ludności prawosławnej. Obecnie na terenie gminy jest 10 Świadków w następujących wsiach: Dubicze Cerkiewne - 7, Rutka - 2, Czechy Orlańskie - 1. Zebrania odbywają się w wynajętej sali Domu Rzemiosła przy ul. Buczka 21 w Hajnówce od chwili zarejestrowania związku wyznaniowego przez Sąd Najwyższy w Warszawie. (...) Wspólnymi siłami Świadków budowana jest "Sala Królestwa " w Dubiczach.

Nieliczni rzymsko- katolicy (trzy rodziny) mogą korzystać z kościoła katolickiego w Kleszczelach.

Adwentyści Dnia Siódmego na terenie gminy Dubicze Cerkiewne są nieliczni: w Grabowcu - 2 osoby i Tofiłowcach - 1 osoba. Ich nabożeństwa odbywają się w Kaplicy Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego w Hajnówce przy ul. Południowej 20. Pastorem zboru, który liczy 52 wyznawców ochrzczonych w wieku dorosłym, jest Mieczysław Tarasiuk.

Należy podkreślić odrębność gm. Dubicze Cerkiewne pod względem narodowościowym i religijnym. Zamieszkuje tu ludność pochodzenia północnoukraińskiego, powszechnie nazywana Białorusinami, wyznająca w zdecydowanej większości Prawosławie.(...)

Świadomość społeczności wiejskiej zachowała w dużym stponiu charakter etniczny, z wyznaniem prawosławnym jako podstawą odrębności w stosunku do żywiołu polskiego.

Sławomir Kulik

Od redakcji: *Nie możemy się zgodzić z jednym ze stwierdzeń p. S.Kulika, iż gminę Dubicze Cerkiewne zamieszkuje "ludność pochodzenia północnoukraińskiego" - tak twierdzą niektórzy badacze, co nie oznacza, że jest to tzw. "prawda ostateczna". Południowa Białostocczyzna pod względem osadnictwa jest naturalnym przedłużeniem Polesia, które wyróżnia się etnicznie od sąsiadującego z nim od południa ukraińskiego Wołynia. A Polesie i (obecna) Białostocczyzna, od wieków kulturowo tworzyły wspólnotę z ziemiami białoruskimi.*

LISTY DO NAS * LISTY DO NAS

Pan Wojewoda Białostocki

Szanowny Panie!

Pozwalam sobie zwrócić Pańską uwagę na artykuł p.Hieronima Wawrzyńskiego pt. "Dzwony od prezydenta", zamieszczony w "Kurierze Podlaskim" Nr 123 (2289) z dn. 29.06.1992r.

Artykuł przedstawia nieprawdziwy obraz spotkania Przewodniczącego Rady Najwyższej Republiki Białoruś p. Stanisława Szuszkiewicza z Białorusinami Białostocczyzny.

Sugerowanie, że pan Szuszkiewicz jest "naszym prezydentem", obraża naszą godność obywateli Rzeczypospolitej Polskiej. Nikt też nie domagał się ustawowego zagwarantowania stanowisk w administracji rządowej i samorządowej dla miejscowych Białorusinów, a tym bardziej włączenia Białegostoku do Białorusi.

To ostatnie kłamstwo szczególnie boleśnie dotknęło Białorusinów.

Redakcja "Kuriera Podlaskiego" nie pierwszy raz obraża Białoru- sinów i jątrzy w stosunkach polsko - białoruskich na Białostocczyźnie. Tym razem jednak sprawa dotyczy oficjalnej wizyty głowy sąsiedniego i zaprzyjaźnionego państwa i spotkania, którego Pan Wojewoda był gospodarzem. Stąd też oczekuję, że to właśnie Pan wstąpi na drogę sądową przeciwko redakcji "Kuriera Podlaskiego" w obronie swoich gości i współobywateli.

P.S. Załączam kserokopię rzeczonego artykułu.

Do wiadomości:
1. Ambasada RB w Polsce
2. Redakcje gazet.

Podpisał:
Przewodniczący Rady Głównej
Białoruskiego Zjednoczenia
Demokratycznego
Oleg Łatyszonek.

Od redakcji:
Po rozpatrzeniu sprawy, Pan Wojewoda Białostocki stwierdził, iż wniosek do sądu powinien skierować kto inny..., a „(...) ustalenie stopnia naruszenia godności obywateli Rzeczpospolitej Polskiej w odniesieniu do ich wypowiedzi w **języku białoruskim**, nie leży **w kompetencji i możliwościach** polskiej administracji".

Odpowiedź "w imieniu Pana Wojewody" zamieszczamy na str. 32.

WIESŁAW CHORUŻY

PRZESZŁOŚĆ I DZIEŃ DZISIEJSZY

Ostatni akt tragedii Ziemi Kryńskiej ?

Pagórki, lasy i laski z ostatnich dziesięcioleci, piaski i drewniane chatki wśród drzew. Widok jakby z innej, odległej epoki. Spokój i codzienny znój ciężkiej pracy ludzi zdobywających chleb z tej lichej, piaszczystej ziemi. Tak tu było od wieków: codzienna praca zapewniająca byt, szacunek dla każdego poletka tej lichej gleby. Często nawet tej ziemi nie starczało dla wszystkich.

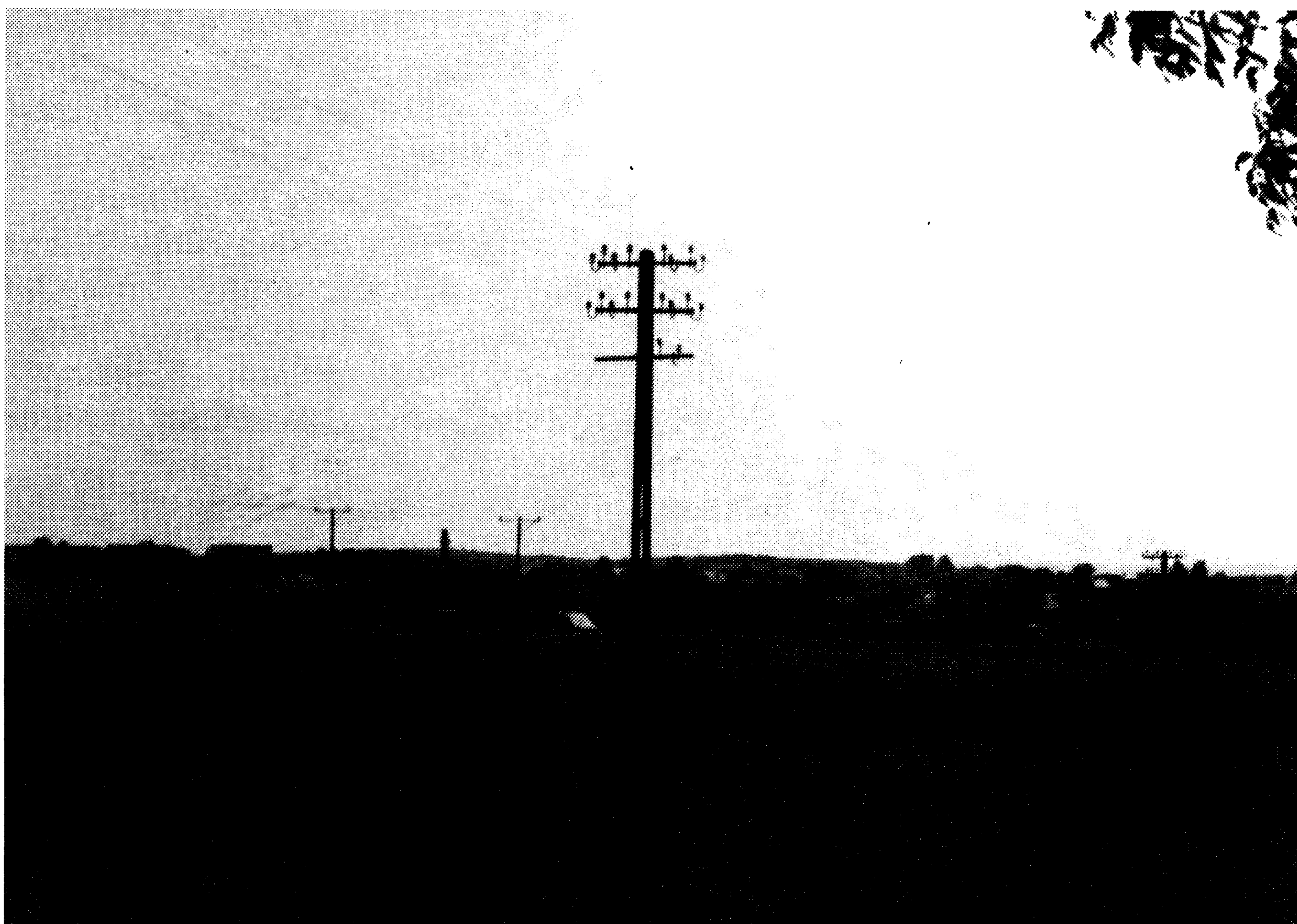
Jak jest dzisiaj? Tysiące hektarów nikomu niepotrzebnych pól, dogorywające wsie, ludzie żyjący nie dla siebie, a dla swoich dzieci mieszkających w miastach. Drzewa i trawy zarastające niegdysiejsze niwy, wyrwane przyrodzie ciężką pracą minionych pokoleń. Jeszcze przeminie kilkanaście lat, a pozostaną tylko podmurówki wiejskich chat, rdzewiejące resztki narzędzi rolniczych, przydrożne krzyże wznoszone za pomyślność bytu ludzkiego i zaznaczone na mapach nazwy nie istniejących już wsi.

Same Krynki, ongiś dawne miasto królewskie z dwoma rynkami i dziesiątkami ulic, także zaczyna powoli przypominać okoliczne wyludniające się wsie. Nawet w jedynej restauracji (chyba nazbyt wielkie słowo), kiedyś tak tętniącej życiem, już mało kto gości.

A jaka była przeszłość tej ziemi?

Mało kto zajmował się opisem przeszłości tej ziemi, jej rozwoju i obecnej sytuacji.

W średniowieczu ziemię tą porastały ogromne puszcze, poprzecinane rzekami i rozlewiskami wodnymi. Najważniejszym ośrodkiem politycznym i kulturalnym było Grodno (biał. Horadzień, Harodnia), zaliczające się do największych grodów Rusi Czarnej. W XIII wieku Ruś Czarna ze swoimi grodami Nowogródkiem (biał. Nowaharodak, Nawaharadok) i Grodnem, była najznaczniejszym księstwem na ziemiach białoruskich i utworzyła jedno z najsilniejszych państw Europy Wschodniej - Wielkie Księstwo Litewskie. Książęta pochodzący z tych ziem i władający nimi: Wojsiełk (Wojszałk), Trajdzień, Wicień stworzyli podwaliny Wielkiego Księstwa Litewskiego, w którym aż do XVII wieku językiem urzędowym był język naszych przodków. W tym języku starobiałoruskim spisywano dokumenty książęce. Wielka postać europejskiego Renesansu - Franciszak Skaryna - dał Pismo Święte swojemu ludowi w jego ojczystym języku. Od wieków Krynki znajdowały się na głównym szlaku handlowym z Grodna do Brześcia i dalej do Polski. W XV wieku rozpoczął się rozwój tych ziem, w związku z nawiązaniem stosunków politycznych i gospodarczych Wielkiego Księstwa Litewskiego i Królestwa Polskiego. Dzięki temu mógł powstać wspomniany trakt handlowy. W wielkim kompleksie leśnym rozciągajacym się na tych terenach w 1409 r. powstał dwór w Białowieży, a w 1429 w Krynkach. Wspomniane miejscowości oraz Odelsk i Gródek, znajdujące się na osi rzeki Świsłocz, stały się ważnymi ośrodkami osadniczymi i gospodarczymi tych ziem.



Wzdłuż Świsłoczy, w pobliżu traktu handlowego, znajdowały się osady bojarów pochodzenia białoruskiego i litewskiego. Osiedlano od strony Niemna ludność białoruską i litewską. Największym ośrodkiem zamieszkałym przez ludność litewską był Odelsk, w którym w 1492 r. powstała pierwsza parafia rzymsko-katolicka w tych okolicach. Jednak nadal brak było w tym okresie (XV w.) na tych terenach zwartych i dużych wsi. Najbliżej znajdowały się trzy wsie bojarskie w rejonie Hałynki, na prawym , wschodnim brzegu Świsłoczy. Dopiero w okresie pomiary włócznej przeprowadzanej od 1524 r., królowa Bona zorganizowała dziesiątki nowych wsi, zostało również skomasowane stare osadnictwo w zwarte osady. Proces ten trwał ok. 30 lat. Do dzisiejszego dnia większość tych wsi przetrwała i nadal istnieje. Nawet imiona (nazwiska) pierwszych mieszkańców są do dzisiaj obecne, mimo upływu wieków jak np. Chlabicz, Kucewicz, Kulik. Jednak wsie te mogą przestać istnieć za kilkanaście lat wraz ze śmiercią ostatnich mieszkańców. Po ok. 500 latach przeszłości, nazwy tych miejscowości, pagórków, poletek, znikną z map i może nawet z ludzkiej pamięci.

Same Krynki, obecnie tak opuszczone i senne, posiadają bogatą przeszłość. Już w połowie XVI w. posiadały prawa miejskie, były zamieszkałe przez kilka tysięcy ludzi. Składały się z kilkunastu ulic biegnących do dwóch rynków: Rynek i Rynek Nowy. Oto nazwy niektórych ulic: Bielska, Ostrowska, Świsłocka, Nowonietupska, Nowogrodzieńska, Sokalska. W mieście znajdowała się cerkiew i kościół wraz z przytułkami dla ubogich. Domy znajdujące się przy tych ulicach zamieszkiwali ludzie zajmujący się rzemiosłem, handlem, rolnictwem, posiadający różnorodne imiona, jak np. Hryszko Piotrów, Iwan Boboryka, Sienko Panasów, Ihnat Cimoszew, Bohdan Jakubów, Jeremiey Kowal, Pietrasz Hryniew. Można tych imion przytoczyć nawet kilkaset. Dla przykładu samą ulicę Bielską zamie-

szkiwało ponad 30 gospodarzy wraz z rodzinami. Innym odzwierciedleniem rozwoju miasta niech będzie fakt - chyba nie do uwierzenia - istnienia w mieście 32 (!) karczem piwnych, 5 miodowych i 6 gorzelnych. Karczmy w owych czasach pełniły rolę obecnych hoteli, moteli, schronisk i restauracji.

Jednak zawsze następują okresy stagnacji, a nawet zniszczenia. Tragicznym wydarzeniem dla tych ziem był najazd rosyjski (wojska Chowańskiego) i szwedzki w poł. XVII wieku. W owym czasie na ziemiach białoruskich ok. 40-50% ludności poniosło śmierć, przede wszystkim z głodu spowodowanego zniszczeniem gospodarstw. Proces wzrostu liczby ludności został zahamowany na pocz. XVIII w. na skutek długoletniej i krwawej Wojny Północnej, w której uczestniczyły wojska szwedzkie, rosyjskie i polskie. Ogromne zniszczenia spowodowała wojna francusko-rosyjska na początku XIX wieku. Ogromny cios dla tej ziemi przyniosła 100 lat później I Wojna Światowa. Większość ludności musiało opuścić swoje strony rodzinne i przenieśc się w głąb Rosji. Ten proces o ogromnym znaczeniu społecznym i gospodarczym jest nazywany "bieżaństwem". Ciężkie powroty do zniszczonych rodzinnych wsi, brak pomocy ze strony nowopowstałego państwa polskiego, które rozpoczęło proces osiedlania ludności polskiej - przede wszystkim rodzin wojskowych - na tzw. Kresach Wschodnich (tak nazywano i nadal często nazywa się większośc ziem ukraińskich, białoruskich i litewskich). Duże przeludnienie wsi, słabe gleby, niedostatek ziemi uprawnej, rozdrobnienie poletek, brak szerszych możliwości uzyskania innych dochodów - oto charakterystyka pierwszej połowy XX wieku.

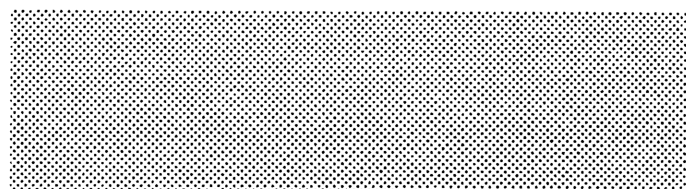
Również w okresie powojennym nie nastąpiła poprawa warunków życia ludności. Rozpoczął się proces wyjazdów młodych mieszkańców wsi i miasteczka Krynki w poszukiwaniu lepszych warunków życia. Wielu związało swoje życie z Białymstokiem, Gdańskiem, Jelenią Górą i wieloma innymi miastami w Polsce i za granicą. W latach 50-tych Krynki tracą prawa miejskie, posiadane od 400 lat. Miasteczko podupada w rozwoju gospodarczym, znaząszy się w pobliżu szczelnej granicy państwa radzieckiego. Wiele zmieniło się w obrazie powojennych Krynek. W okresie wojny zostają wymordowani Żydzi, coraz częściej słychać język polski - który niemalże wyparł dotychczas powszechnie używaną mowę białoruską, zwaną tutaj "językiem prostym". Przybyło trochę ludzi z Polski, przede wszystkim kadry kierowniczej i administracyjnej. Powstało jedno z największych w Polsce gospodarstw rolnych należących do państwa. W latach powojennych próbowało się skolektywizować wieś - państwo starało się zabrać co bardziej urodzajną ziemię od rolników indywidualnych. Obowiązkowe dostawy nałożone na rolnictwo, przy równocześnie niskich cenach i bardzo małe zmechanizowanie prac polowych, dopełniają obrazu gospodarki chłopskiej. W wielu wsiach sieć elektryczną i telefoniczną przeprowadzono dopiero w latach siedemdziesiątych. W wyniku takiej polityki państwa wobec rolnictwa indywidualnego wręcz żadne z gospodarstw nie posiada obecnie młodego następcy. Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte przyniosły masową migrację młodzieży do miast. Ziściły się plany zniszczenia gospodarki chłopskiej i powstała możliwość przejęcia ziemi przez państwo, a tym samym rozwoju Państwowych Gospodarstw Rolnych. Jednak przemiany polityczno-gospodarcze w Polsce po 1989 roku przyniosły odcięcie dotacji państwowych dla PGR-ów i spadek opłacalności produkcji rolnej. Rolnicy indywidualni zdają masowo ziemię do Skarbu Państwa i otrzymują prawo do ok. 700 tys. emerytury, a wyżywić się na wsi jakoś można. Ale już obecnie większość ludności gminy mieszka w Krynkach. Co się stanie z ogromnym PGR-em, który w ostatnich latach dawał zatrudnienie i utrzymanie ok. 400 pracownikom i ich rodzinom. W części są to jeszcze młodzi ludzie, chcący dać wykształcenie i utrzymanie swoim dzieciom. Obecnie, kiedy każda gmina sama przede wszystkim powinna decydować o swojej sytuacji materialnej, gminy nie posiadające wielu zakładów pracy i przedsiębiorstw, mające słabo rozwiniętą gospodarkę, najczęściej skazane są na zwykłą biedę i wegetację. **Gdzie mają znaleźć zatrudnienie ludzie z obecnie likwidowanego PGR-u? Kto będzie łożył pieniądze na utrzymanie osiedla, w którym mieszkają dawni pracownicy tego gospodarstwa?** Jest to tragedia wielu rodzin. Sytuacja ekonomiczna gminy jest słaba. Obrazu dopełniają upadłe zakłady rzemieślnicze, walczące jeszcze o przetrwanie. Na pewno nie jest to obraz budujący, tym bardziej, iż możliwe zmiany na lepsze utrudniają różnorodne nie uregulowane jeszcze przepisy. Brak jest wielu aktów własności na różnorodne nieruchomości, aktualizacji dokumentacji geodezyjnej. Ciągle zmieniają się plany zagospodarowania przestrzennego. Również zainteresowanie spółek gospodarczych, po prostu ludzi z pieniędzmi spoza gminy, jest bardzo małe.



Po wyludnieniu się okolicznych wsi, wyludnia się również i ich centrum administracyjno-gospodarcze...

Czyżby przyszedł czas na zmierzch tego historycznego miasteczka? Był las, nie było nas, będzie las, nie będzie nas...

WIESŁAW CHORUŻY
Fot. Autor



(Kilka uwag o "okresie przejściowym" emigracji białoruskiej)

PRZED PODRÓŻĄ NA DRUGĄ STRONĘ

O emigracji białoruskiej wiemy dzisiaj nieporównywalnie więcej, aniżeli jeszcze dwa-trzy lata temu. Jest to jednakże wiedza dość fragmentaryczna i okazjonalna, wynikająca ze sporadycznych kontaktów białostockich Białorusinów z emigracją białoruską w USA lub Kanadzie, nie poparta i nie ugruntowana solidniejszą lekturą naukowych czy chociażby półnaukowych opracowań tego zagadnienia. Niebawem, równolegle w USA (w języku angielskim) i na Białorusi (w przekładzie na białoruski), ukaże się monograficzna praca Witauta Kipiela "Białorusini w Ameryce". Zainteresowani tematem będą mieli możliwość syntetycznego oglądu problemów diaspory białoruskiej za oceanem. Siłą rzeczy, wiele problemów szczegółowych, dotyczących emigracji pozostanie w odsyłaczach do trudno dostępnych dla tzw. zwykłego czytelnika publikacji. Poniższe uwagi dotyczą akurat takiego "szczegółowego" zagadnienia, jakim jest pobyt emigrantów białoruskich (a dokładniej - kandydatów na emigrantów) w obozach dla przesiedleńców w Niemczech Zachodnich w latach 1945-50. Uwagi te są niezwykle skrótowym przekazem treści zawartych w dwóch pierwszych rozdziałach przygotowywanej przeze mnie książki "Biełaruskaja Himnazija imia Janki Kupały u Niamieczczynie, 1945-1950". Książka ta, będąca wynikiem stypendium badawczego przyznanego mi przez amerykańską Fundację im. I. Lubaczki, ukaże się pod koniec bieżącego roku w Białymstoku.



Nauczyciele i maturzyści Białoruskiego Gimnazjum im. Janki Kupały, Michelsdorf (Wschodnia Bawaria), 1947r.

Uwaga pierwsza: Wszyscy muszą wrócić do domu

Pokonane Niemcy w maju 1945 roku to, pomijając wszystko inne, także niewyobrażalne w skali skupisko różnych narodów. Według ówczesnych szacunków Organizacji Narodów Zjednoczonych, w chwili zakończenia II Wojny Światowej na terytorium Niemiec znajdowało się około 10 milionów ludzi innych aniżeli niemiecka narodowości (dodajmy, że liczba ta nie obejmowała ani przetrzymywanych w obozach jenieckich żołnierzy z podbitych przez Niemcy krajów Europy, ani żołnierzy ze zwycięskich armii koalicji antyhitlerowskiej). Byli to zatem ludzie ściągnięci do pracy w kompleksie gospodarczym III Rzeszy drogą werbunku albo przymusowych wywozów, a także ci, którzy opuścili swoje poprzednie miejsca zamieszkania w ostatniej fazie wojny (dotyczy to przede wszystkim uchodźców z Europy Wschodniej i Środkowej, którzy nie chcieli znaleźć się w radzieckiej sferze wpływów). Ilość osób przemieszczonych z terytorium ZSRR do Niemiec oceniano dość nieprecyzyjnie na 2 do 3 milionów.

Przewidując trudności z powrotem swoich obywateli do domu strona radziecka na Konferencji Jałtańskiej (4-11 lutego 1945r.) zawarła porozumienie ze stroną brytyjsko-amerykańską w sprawie repatriacji. Porozumienie miało tajny charakter i nie wchodziło do zasadniczego tekstu dokumentu jałtańskiego. Zachodni alianci zobowiązali się do daleko idącej pomocy przy repatriacji obywateli radzieckich, którzy znajdą się w zachodnich strefach okupacyjnych. Na mocy tego porozumienia kontrolowane przez zachodnich aliantów terytorium Niemiec po zakończeniu działań wojennych pokryło się gęstą siatką radzieckich wojskowych misji repatriacyjnych. Analiza prawnicza owego porozumienia nie dawała podstaw do repatriacji obywateli radzieckich wbrew ich woli, jednakże w takim sensie zostało ono zinterpretowane przez Główną Kwaterę Alianckich Sił Ekspedycyjnych w Europie. Zasada przymusowej repatriacji obywateli radzieckich obowiązywała praktycznie do końca 1945 roku i w pierwszych miesiącach 1946. Wobec opierających się repatriacji do ZSRR wojsko (brytyjskie i amerykańskie) używało przemocy i broni. Szokujące opisy przymusowej repatriacji do ZSRR, przeprowadzonej siłami wyzwoleńczych wojsk alianckich pod nadzorem oficerów NKWD, zawarł w książce "The Last Secret" angielski autor N.Bethell bez mała 30 lat po tych wydarzeniach. Przerwało to zmowę milczenia historyków alianckiego czynu zbrojnego w II Wojnie Światowej nad jednym z bardziej ponurych jej epizodów.

Jednakże dziesiątkom tysięcy Białorusinów, Ukraińców, Litwinów, Łotyszy i Estończyków udało się przetrwać nawałę przymusowej repatriacji i pozostać w Niemczech w obozach przesiedleńczych (w terminologii angielskiej: displaced persons camps). Zawdzięczali to rozbieżności poglądów pomiędzy stroną aliancką i radziecką dotyczących wyznaczenia obywatelstwa radzieckiego. Zachodni alianci nie uznawali bowiem obywatelstwa radzieckiego "nabytego" po 1 września 1939r. przez mieszkańców Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy, a także przez mieszkańców krajów nadbałtyckich włączonych w 1940 r. do ZSRR. Inaczej mówiąc, wszyscy Białorusini posiadający status "osoby przemieszczonej" (displaced person, w skrócie - DP) w Niemczech byli zapisani



Dziewczęca drużyna skaucka w białoruskim obozie DP Michelsdorf, 1947r.

jako obywatele polscy. To oczywiście ratowało ich przed przymusową repatriacją, ale z drugiej strony powodowało, że Białorusini "znikli" jako grupa narodowa w obozach przesiedleńców. Wysiłki działaczy białoruskich zmierzające do wyodrębnienia narodowego i organizowania białoruskich obozów DP dały pewne rezultaty, ale objęły niewielki procent rodaków. Większość wolała pozostać "Polakami".

Uwaga druga: Niektórzy uparli się być Białorusinami

Wytłumaczenie władzom alianckim, że Białorusini to nie Rosjanie (a także nie Polacy, choć formalnie obywatele polscy) nie było w owym czasie zadaniem łatwym (zresztą, dzisiaj to też jeszcze nastręcza w pewnych sytuacjach trudności). Byelorussian czy White Russian (angielskie odpowiedniki nazwy "Białorusin") niewiele Anglikom i Amerykanom mówiły, a jeśli już, to najczęściej mylono to pojęcie z "Białym Rosjaninem", to znaczy, z białogwardyjską emigracją rosyjską po rewolucji. Dość powiedzieć, że przez pewien czas w środowisku białoruskich przesiedleńców w Niemczech grupa działaczy propagowała (z niewielkim powodzeniem) nazwy Krywia i Krywicze zamiast Białoruś i Białorusini, a to w celu "wyraźnego" podkreślenia własnej odrębności narodowej.

W 1945 roku Białorusinom udało się zorganizować trzy narodowe obozy DP: w Regensburgu (Wschodnia Bawaria, strefa amerykańska) oraz w Wattenstedt i Goslar (strefa brytyjska). W latach następnych powstało jeszcze parę białoruskich obozów (Michelsdorf, Windischbergerdorf, Osterhofen i in.) oraz kilka dziesiątków wydzielonych białoruskich grup w obozach polskich, ukraińskich oraz mieszanych. Udało się zorganizować siatkę białoruskich przedszkoli, szkół podstawowych oraz 4 gimnazja: w Regensburgu, Wattenstedt, Osterhofen i Giebelstadt. W roku 1947 w Osterhofen zaczęła wychodzić regularna gazeta białoruska "Baćkauszczyna" (tygodnik). Młodzież białoruska zorganizowała niezwykle prężny ruch skautów.

Do lipca 1947 r. nadzór nad obozami przesiedleńców w Niemczech Zachodnich sprawowała UNRRA (Administracja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy). Statutowym celem tej organizacji była pomoc władzom alianckim w przeprowadzeniu repatriacji przesiedleńców. Jednakże już pod koniec 1945r. było wiadomo, że całkowita repatriacja nie będzie możliwa. Przesiedleńcy z Europy Wschodniej (za wyjątkiem wahających się Polaków) mieli negatywne nastawienie do repatriacji. Stąd też od połowy 1947 roku, gdy opiekę nad obozami przejęła Międzynarodowa Organizacja do Spraw Uchodźców, rządy zachodnie zaczęły skłaniać się do rozwiązania problemu przesiedleńców poprzez emigrację i osiedlenie na stałe w nowych miejscach zamieszkania. Masowa emigracja przesiedleńców z Niemiec nastąpiła w 1949 i 1950 roku.

Oficjalne statystyki emigracyjne odnotowały około 2500 ludzi, którzy wyemigrowali z Niemiec z wpisaną w emigracyjnych dokumentach narodowością białoruską. Badacz problemów powojennego uchodźstwa w Europie Jacques Vernant szacuje, że w Niemczech Zachodnich w obozach dla przesiedleńców przebywało około 60.000 Białorusinów. Jednocześnie podaje geograficzne rozmieszczenie emigracji białoruskiej :

a) Ameryka Łacińska, Australia i Nowa Zelandia - 30 tys.
b) Wielka Brytania - 10-15 tys.
c) USA - 5-7 tys.
d) pozostali osiedlili się w Europie Zachodniej lub w Kanadzie.

(zakończenie nastąpi)

JAN MAKSYMIUK



Kierownictwo białoruskiego skautingu w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec: Uładzimier Ćwirka, Witaut Kipiel, Wasil Szczećka, Alaksandar Buta(sztandarowy), Janka Zaprudnik, Janka Żuczka.

Jak Niemiec z Duńczykiem w Szlezwiku...

Aabenraa, czli Apenrade

W duńskim miasteczku Aabenraa nie wypada pytać, czy jesteś Niemcem, czy Duńczykiem. Jeśli to uczynisz, źle cię ocenią nie tylko w reprezentacyjnym hoteliku, ktory nosi tu dumną nazwę "Europa".

- Jesteś tym, za kogo się uważasz i kim się czujesz - powie na pewno, gestykulując gwałtownie, Siegfried Matlok.

Brat Siegfrieda, Jorgen, od lat mieszka we Flensburgu, w Niemczech, dokładnie po drugiej stronie granicy, i czuje się najprawdziwszym Duńczykiem. Do gimnazjum, którym kieruje, zjeżdżają młodzi chłopcy i dziewczyny z duńskich rodzin z całego niemieckiego Południowego Szlezwiku, gdzie mniejszość liczy podobno 50 tysięcy dusz. Te dane, twierdzi rząd landu Szlezwiku-Holsztyna, oparte są wyłącznie na szacunkach, również tutaj bowiem nikt nie odczuwa potrzeby pytania bliźniego o narodowość.

Pług historii miesza nacje

Familia Matloków to dobry przykład, jak skomplikowane bywają odruchy serca i ludzkie wybory tam, gdzie pług historii miesza nacje, a czasem też krew. - Jesteśmy z bratem dziećmi tego pogranicza - nie ma wątpliwości Siegfried. "Niemiecki" Matlok w niepamięć próbuje odsunąć rodzinne, dramatyczne spięcia. Po latach dojrzewania do tolerancji mówi już dziś bez emocji: - Ja jako liberalny Niemiec powiedziałem Jorgenowi: możesz angażować się śmiało po tej, duńskiej stronie.

Siegfried w tym samym duchu redaguje w Apenrade dziennik w ojczystym języku: "Nordschleswiger". To nie wszystko. Czterdziestoletni Matlok jest także szefem sekretariatu utworzonego w 1983 roku przez rząd duński, reprezentującego niemiecką grupę narodowościową w Kopenhadze. **Sekretariat, finansowany przez państwo, utrzymuje kontakty z duńskim rządem i parlamentem.** To ważne, bowiem ordynacja obowiązująca w Danii nie daje szans wyborczych nielicznemu elektoratowi mniejszości.

Duńczycy w Niemczech są w nieco lepszej sytuacji. Co prawda, nie mogą na razie marzyć o umieszczeniu swego człowieka w Bundestagu: próg 5 procent jest nie do pokonania. Prawo wyborcze sprzyja im jednak w landzie Szelzwik-Holsztyn. Zrzeszenia Wyborczego Południowego Szelzwiku /SSW/, **jako partii duńskiej mniejszości narodowej, nie dotyczy tu wyznaczony próg procentowy,** musi ono jednak uzyskać przynajmniej taką samą liczbę głosów, jaką zebrał "najsłabszy" mandat w landtagu, obliczony metodą D'Hondta.

Karl Otto Meyer, który jest posłem wyłonionym w ostatnich wyborach, powie, że jego duńska partia już dawno przestała widzieć sprawy w wąskich kategoriach narodowej odrębności. **- Nie chodzi przecież tylko o to, by dzieci mogły śpiewać bez przeszkód narodowo-patriotyczne piosenki. SSW chce pomyślności całego regionu. To oznacza przecież miejsca pracy dla młodych Duńczyków. Bez tego wynarodowienie stanie się faktem. I tak już zbyt wielu młodych ludzi z mniejszości pakuje swoje walizki.**

Słów parę o tak zwanych zagranicznych pieniądzach

Jeśli spojrzeć z imponującego tarasu gimnazjum duńskiego we Flensburgu - widać u podnóża skarpy, ponad czerwonymi, stromymi dachami, wcinający się głęboko w kilkudziesięciotysięczne miasto błękitny fiord. Zgodnie cumują w nim przy nabrzeżach jachty z niemieckimi i duńskimi flagami.

Potężny gmach szkoły rozbudowano niedawno, głównie za pieniądze duńskiego rządu. Podobnie było w przypadku pozostałych budynków oświatowych dla tej mniejszośc: ustawodawstwo niemieckie nie przewiduje możliwości fundowania szkół dla grup narodowych. Istniejące włączone są jednak w państwowy system, zaś nauczyciele pracują na etatach krajowego ministerstwa oświaty. Co istotne: **administracja przekazuje duńskim szkołom dotacje równe wydatkom przewidzianym na placówki niemieckie.** Pokrywa to blisko połowę kosztów, bowiem szkolnictwo dla mniejszości jest droższe: choćby dlatego, że dwa języki - niemiecki i duński - mają status języków ojczystych, czyli obowiązkowych. Ponadto Duńczycy są rozproszeni i dzieci trzeba dowozić do szkół ze znacznych odległości, a także utrzymywać w terenie mniejsze placówki. Fundusze uzupełnia więc oficjalną drogą Kopenhaga.

- Inaczej jest po tamtej stronie granicy, w Danii. Tam szkoły dla niemieckiej mniejszości mają charakter prywatny, umożliwia to stosowna, precyzyjna ustawa. Mimo to **państwowe dofinansowanie jest spore: sięga blisko 80 procent wydatków.**

Jednak różnice systemów szkolnictwa nie przeszkadzają uznawać wzajemnie po obu stronach matury, zaś obowiązek nauczania i zaliczania na egzaminach języka "państwowego" uznaje się za oczywisty.

Przybysza z Polski szokuje wręcz ten ostentacyjny, klarowny i bezpośredni sposób dotowania własnych grup narodowych ponad granicą. Bez pieniędzy słanych z ojczyzny redakcje gazet dla mniejszości, przy ich niewielkich nakładach, byłyby bez szans. Duńskie organizacje kulturalne, młodzieżowe, szkolne, których jest zresztą bez liku, wysyłają co roku swoich przedstawicieli z Niemiec do Kopenhagi, by negocjowali ze specjalną komisją Folketingu wysokość dotacji, rozliczywszy się, rzecz jasna, z realizacji budżetu za rok poprzedni. Na północ przez granicę płyną w podobny sposób do "swoich" twarde marki.

Oprócz pieniędzy dla mniejszości Polaka w Danii i Niemczech interesują zwykle zmagania z historią. - O najbardziej kontrowersyjnych sprawach, na przykład okupacji Danii przez nazistowskie Niemcy w 1940 roku mówimy na lekcjach otwarcie i bez lęku - powie Jorgen Matlok. Sporne kwestie próbuje się wyjaśnić, porównując zapisy w niemieckich i duńskich podręcznikach. Zdarza się, że gorące tematy młodzi Duńczycy dyskutują na wspólnych wakacjach z rówieśnikami w szkole niemieckiej.

Nienawiść i lojalność albo o sztuce leczenia ran

Ustalona po II wojnie światowej granica między Niemcami i Danią zdaje się dziś nie wzbudzać zupełnie emocji. Nie zawsze tak było.

Rany i urazy po ostatniej wojnie zabliźniały się długo. W latach 40-tych na ziemiach należących do Danii zlikwidowano niemieckie szkoły, a Niemców wyrzucono z państwowych instytucji i urzędów. - Pamiętam tę nienawiść - wspomina dziś wysoki funkcjonariusz rządu Szlezwiku-Holsztyna. Byłem wśród tych, którzy rzucali kamieniami za duńskimi rówieśnikami.

Przełom nastąpił dopiero w 1955 roku. - To wtedy - pamięta Heinrich Schulz,

przewodniczący SSW - mniejszość niemiecka w Danii złożyła deklarację lojalności. - Natomiast my, Duńczycy niemieccy, nie musieliśmy tego czynić. Nasi przodkowie dali wcześniej dowody lojalności w stosunku do państwa, walcząc i umierając za swoje rodzinne strony w niemieckich armiach - podkreśla Schulz. W tym samym 1955 roku, tuż przed wstąpieniem RFN do NATO, aby pozyskać Danię, Niemcy zgodziły się otoczyć opieką duńską mniejszość. W Bonn i Kopenhadze podpisano równocześnie deklarację o ochronie mniejszości. Konsekwencją tego faktu był zapis w konstytucji Szelzwiku-Holsztyna w sprawie popierania i ochrony mniejszości.

Deklaracja bońsko-kopenhaska, będąca przecież dosyć ogólnikowym zapisem intencji, wytrzymała próbę czasu. Do dziś pełni rolę "konstytucji" dla obu mniejszości. Jej idea jest prosta: każdy człowiek ma prawo żyć na swojej ziemi, w narodowej kulturze i używać ojczystego języka. Te zasady wrastały przez lata głęboko w świadomość i kształtowały stosunki mieszkańców pogranicza, tak jak nie próbowano nigdy podważać zasady lojalności obywateli wobec państwa, w którym przyszło im żyć.

O wyrzeczeniach, bez których nie ma szacunku

Dla zachowania tożsamości kulturowej mniejszości nie wystarczą instytucje, choć stowarzyszeń narodowych, organizacji młodzieżowych, klubów, nawet ośrodków pogodnej starości pod własną, narodową flagą nie brakuje po obydwu stronach granicy.

- O akceptację większości trzeba zabiegać. Nawet przy utrwalanej latami tolerancji nie da się jednak wyeliminować do końca rywalizacji, a nawet napięć - chce być szczery poseł Meyer. Nieprzypadkowo - opowiada Jorgen Matlok - w pasie przygranicznym jest teraz więcej niż gdzie indziej szkół i przedszkoli. Zbiegiem okoliczności zapewne, tuż obok duńskich natychmiast wyrastały placówki niemieckie. Istnieją również po obu stronach granicy organizacje gorliwie troszczące się o prawdziwą czystość ojczystych ziem. Gdzie ich, zresztą, nie ma? Swoje znaczenie ma też dysproporcja potencjałów ekonomicznych obu państw - niekorzystna dla Danii... Jednak to, co się w Szlezwiku udało osiągnąć dla pojednania sąsiednich narodów, budzi podziw i zazdrość.

Zbigniew Lentowicz
Rzeczpospolita
Nr 124(3162), 27 maja 1992 r.

Antoni Mironowicz

Białoruskie inspiracje działalności Szwajpolta Fiola

Kościół prawosławny posiada bogatą tradycję wydawania ksiąg liturgicznych. Według najnowszych badań, pierwsze świątynie chrześcijańskie na ziemiach polskich posiadały wschodni charakter. **Kraków, będący w XI wieku stolicą potężnego księcia Wiślan, stał się pierwszym ośrodkiem obrządku słowiańskiego. Tradycje występowania tam języka cerkiewno-słowiańskiego sięgają tego okresu. Jeszcze w XVI wieku w Krakowie językiem cerkiewno-słowiańskim posługiwały się nie tylko osoby duchowne wschodniego obrządku, ale był on powszechnie znany wśród wiernych innych wyznań.** Zapewne fakt ten spowodował, że Kraków w 1491 roku stał się kolebką cyrylickiego drukarstwa. Druki cyrylickie Szwajpolta Fiola poprzedzone zostały jedynie księgami liturgicznymi, wydanymi dla Kościoła wschodniego w Wenecji w 1483 roku.

Szwajpolt Fiol przybył do Krakowa z Frankonii z miasta Neustadt, położonego nad rzeką Aisch. W 1479 roku otrzymuje obywatelstwo miasta Krakowa. Autorzy jego biografii podają, że Fiol był z zawodu hafciarzem i należał do cechu złotników, który zajmował się sporządzaniem szat dla duchownych i dekoracją obrazów, haftowanych złotem, perłami i drogocennymi kamieniami. Opracował również sposób odwadniania olkulskich kopalń ołowiu i srebra, za co uzyskał królewski przywilej Kazimierza Jagiellończyka (1489r.) na część dochodów z tychże kopalń. Działalność wynalazcy zbliżyła Fiola do wielkiego przedsiębiorcy górnictwa na Węgrzech - Jana Turzona, który pomógł mu finansowo przy uruchomieniu drukarni w Krakowie.

Halina Szwajkowska w pracy "Książka drukowana w XV-XVIII wieku" przenosi okres powstania drukarni do lat 1483-1486, w którym obrotny rzemieślnik przygotowuje pomieszczenie, sprzęt i papier. W 1491 roku Fiol sprowadza czcionki - 230 "ruskich liter", które miały być wykonane według jego wskazówek, od Rudolfa Bosdorfa z Brunszwiku. W tymże roku ukazały się dwa pierwsze druki Szwajpolta Fiola, które posiadają identyczny ozdobny kolofon z herbem Krakowa, miejscem i datą druku i nazwiskiem drukarza. Był to "Czasosłowiec" - rodzaj brewiarza, zawierający modlitwy oraz psalmy na określone godziny dnia i nocy i "Ośmiogłaśnik albo Oktoich" - zbiór hymnów św. Jana z Damaszku w ośmiogłosowym układzie (obydwie pozycje z datą 1491). Co do dwóch pozostałych druków: "Triod ćwietnaja" - mieszcząca pieśni, modlitwy i rytuał okresu wielkopostnego, istnieje spór co do daty ich powstania. Obie "Triody" nie posiadają daty ani miejsca wydania. Szwejkowska na tej podstawie sugeruje, iż druki te ukazały się przed rokiem 1490.

Działalność cyrylickiej drukarni w Krakowie po czterech wydaniach została przerwana w momencie, kiedy była dobrze wyposażona i otwierały się przed nią nowe możliwości. Najwięcej kontrowersji wzbudzają przyczyny jej powstania i upadku.

Zakładając, iż Fiol, który nosił słowiańskie imię, był wyznawcą Kościoła wschodniego, sam nie mógł uruchomić tak kosztownego przedsięwzięcia. Wielu badaczy zwraca uwagę, że inicjatorzy tego dzieła pochodzili z Białorusi i Litwy, na terenach których Kościół prawosławny zdecydowanie dominował.

Zapotrzebowanie na księgi cyrylickie było duże, zwłaszcza że rozszerzyła się sieć parafialna, powstały nowe prawosławne ośrodki zakonne. Karol Estreicher pisze: "W roku 1485 przypada pobyt w Krakowie Michała k-cia twerskiego. Z upadkiem Księstwa w roku 1488 wielu panów przeniosło się do Litwy i Polski. Głogowczyk, będąc przewodnikiem jednego z najzamożniejszych panów na Litwie, mając sposobność zwiedzenia z nim Rusi i Litwy, ocierając się o całe mnóstwo możnowładców ruskich, widząc wreszcie, że gdy duchowieństwo łacińskie ma dla służby Kościoła zagraniczne mszały i śpiewniki, ówczas cerkwiom ich niedostaje, uznał potrzebę zaopatrzenia cerkwi ruskich w podobne księgi". Kraków z czasów Fiola utrzymywał liczne kontakty kulturowe z Litwą, Białorusią i państwem moskiewskim. Moskwa była również zainteresowana działalnością drukarską i wydawnictwem książek.

Niewątpliwy udział w pierwszych wydaniach Fiola miał Jan z Głogowa - wykładowca Akademii Krakowskiej. Głogowczyk był wychowawcą dzieci litewskiego księcia Jana Gasztołda i zajmował się przekładem ksiąg z greckiego na →

słowiański. Krakowski kanonik Szymon Starowolski (1588-1656) pisze, że przekłady Jana z Głogowa były drukowane w Krakowie.

Szczególnie możni wyznawcy Prawosławia w Wielkim Księstwie Litewskim byli zainteresowani powstaniem w Krakowie słowiańskiego drukarswa. Kraków w końcu XV wieku był znaczącym ośrodkiem życia przedstawicieli społeczności prawosławnej. Stąd też starania o uruchomienie drukarni mogły się zakończyć powodzeniem, zwłaszcza że miasto było jeszcze pod wrażeniem poselstwa kniazia Michała Borysowicza, który w 1485 roku oddał Twer pod opiekę króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka. W takiej to atmosferze mogła powstać drukarnia, pracująca na potrzeby Kościoła prawosławnego w stolicy katolickiego państwa. Właściwymi jej założycielami byli możnowładcy litewsko-białoruscy.

Działalność krakowskiej oficyny wydawniczej nie mogła trwać długo. Duchowieństwo łacińskie niechętnie patrzyło na wydawnictwo ksiąg cerkiewno-słowiańskich. Stąd też w listopadzie 1491 roku oskarżono Fiola o herezję i osadzono w więzieniu. Wytoczony mu proces zakończył się w marcu 1492 roku całkowitym uniewinnieniem drukarza, ale w międzyczasie typografia zdążyła upaść. Znamienne jest to, że akta sądowe nie określają rodzaju herezji, którą rzekomo uprawiał Fiol. Było to przyczynkiem do powstania kilku hipotez. Maria Błońska uważa, że drukarnia Fiola, działająca na rzecz wyznawców Cerkwi na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, mogła być użyta jako oręż w sporach religijnych czy politycznych. Ponieważ otwarte wystąpienie przeciwko możnowładcom litewskim czy białoruskim ani też oficjalne zamknięcie drukarni nie było możliwe, postanowiono wytoczyć drukarzowi proces. Proces był zatem ukrytym wystąpieniem przeciwko politycznym i religijnym aspektom działalności drukarni i jej mecenasom.

Po upadku drukarni Fiol zajął się nadzorem nad kopalniami w Złotym Stoku. Pod koniec życia utrzymywał się z zasiłków wypłacanych przez dom Turzonów. Zmarł w Krakowie w 1526 roku.

Działalność wydawnicza Fiola przypada na okres, kiedy Kraków pełnił funkcję wielkiego kulturowego i naukowego ośrodka słowiańskiego, swym znaczeniem daleko wykraczając poza granice państwowości polskiej. Na Uniwersytecie Jagiellońskim przebywała liczna rzesza studentów z Białorusi.

Krakowska oficyna wydawnicza była pierwszą, która drukowała cyrylicą na potrzeby Kościoła prawosławnego. Na jej powstanie w stolicy królów polskich miała niewątpliwie wpływ tradycja ośrodka słowiańskiego, która legła u podstaw kultywowania języka i obrzędowości słowiańskiej. Cztery druki Fiola szybko rozpowszechniły się na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego i poza nimi. Druki Fiola, mimo że nie mogły sprostać zapotrzebowaniom całej społeczności prawosławnej, dały jednak pierwowzór działalności nad upowszechnianiem ksiąg liturgicznych. Kontynuatorem Fiola stał się ojciec renesansu białoruskiego Franciszek Skoryna, który drukował już nie tylko w języku cerkiewno-słowiańskim, ale i białoruskim.

W czasach Franciszka Skoryny druki Fiola były powszechnie znane i cenione. W 1627 roku Zachariusz Kopysteński pisze, że znajdują się one w wielu cerkwiach i monasterach ziemi lwowskiej, w Gródku, monasterze pieczerskim, na Podlasiu - w ziemi bielskiej, w Boćkach - majętności Bogdana Sapiehy, na Wołyniu i w Kamieńcu. Cyrylickie druki krakowskie trafiały głównie do znanych rodów litewskich i białoruskich, jak Gasztołdowie, Sołtanowie czy Sapiehowie. Wśród nich należy upatrywać mecenasów i inspiratorów krakowskiej oficyny wydawniczej. Cyrylickie drukarstwo Fiola w Krakowie na wiela lat wyprzedziło podobne druki w języku polskim i znacznie wpłynęło na rozwój sztuki drukarskiej na ziemiach białoruskich.

DLACZEGO KRADNĄ?

W ubiegłym roku w wyniku 14 włamań do cerkwi w całej Polsce skradziono 53 ikony. Większości kradzieży dokonano na terenie Białostocczyzny.
(z informacji PAP)

W ostatnich latach nastąpił zatrważający wzrost przestępstw związanych z obiektami sakralnymi. Bezpowrotnie giną drogocenne ikony, płoną cerkwie. Ostatnio pojawił się nowy rodzaj przestępstw - kradzieże drogich materiałów budowlanych z budów cerkiewnych. Dlaczego kradną?

Można winić w tym miejscu słabe zabezpieczenie obiektów przed włamaniami. Ale czy możliwe jest stuprocentowe zabezpieczenie wiejskiej cerkiewki, stojącej nieraz na uboczu czy też cmentarnej kapliczki znajdującej się gdzieś w lesie, z dala od siedzib ludzkich? Owszem, istnieją nowoczesne systemy alarmowe, pozwalające w razie wypadku na natychmiastową łączność z posterunkiem policyjnym czy też strażą pożarną. Jednak koszt zakupu takiej instalacji przekracza nieraz wartość materialną chronionego obiektu. Czy mała wiejska parafia może sobie na to pozwolić?

Jednym z rozwiązań, częściowo uniemożliwiającym powstanie lub pzwalającym na szybkie wykrycie kradzieży lub pożaru są nocne dyżury parafian. Nie jest to pomysł nowy - już dawno bowiem nasi przodkowie chodzili na tzw."warty" - ale często skuteczny, o czym świadczy chociażby udaremnienie dalszych kradzieży w cerkwi Haghia Sophia w Białymstoku.

Aby podjąć właściwe kroki, należy poznać motywy osób popełniających przestępstwa. Najczęściej jest to chęć zysku, pogoń za pieniądzem. Prawosławne ikony w prywatnych kolekcjach na Zachodzie osiągają bardzo wysokie ceny. Świadczy to również i o takim rodzaju wartości Prawosławia. Będąc nieskromnym, można zauważyć (uogólniając), że obrazy i rzeźby kościelne na rynku kolekcjonerskim posiadają jakby mniejszą wartość...

Jest jeszcze inne, niematerialne oblicze przestępstw w prawosławnych obiektach sakralnych - moralność osób je popełniających. Nasze społeczeństwo, nieraz tylko formalnie chrześcijańskie, rozdyskutowane na temat religii w szkołach, aborcji itp. zapomina często o wartościach chrześcijańskich, które powinny być przekazywane w rodzinie. Nie jest tajemnicą zasiewanie w wielu rodzinach katolickich poglądów dalekich od ekumenizmu. Wywyższanie własnej wiary, pogarda dla religii prawosławnej jakże często uwidaczniają się w decyzjach przyszłych małżonków różnych wyznań co do miejsca ślubu. Katolicy bardzo rzadko decydują się na ślub w cerkwi.

Z drugiej strony, w rodzinach prawosławnych przekazuje się coraz mniej wartości własnej wiary, pozwalających cenić ją ponad wszystko.

Zapobieganie przypadkom kradzieży, dewastacji, podpaleń w obiektach ma więc przede wszystkim wymiar moralny. Do już zaistniałych faktów popełnienia tych przestępstw my - wierzący prawosławni - nie możemy się odnieść inaczej, jak tylko słowami, które wypowiedział ukrzyżowany Chrystus: **Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią!** *(Łuk.23,24)*.

JERZY CHMIELEWSKI
SŁAWOMIR NAZARUK

DOROTA KUŹMICZ

TAKI TO JUŻ LOS BIEŻAŃCA

Ды ўспомняцца родныя межы, загоны,
Ля хаты на прызбе чакае сям'я,
і слёзы гарачыя ціха зазвоняць (...)

Ларыса Геніюш - „Чужына"

"Jak mama czyta "Czasopis" to ma łzy w oczach". Mama - Nadzieja Anotoszuk to 84 - letnia staruszka.

A córka Wiera krząta się. Pokazuje to nową "Biblię" z Jabłecznej, to wszystkie numery "Czasopisu", "Niwy". Niech będą, dla potomnych. Toż w tym nasza historia.

"Mama, chustkę trzeba tę najnowszą założyć, bo ta taka brzydka". A co tam chustka. Pani Nadzia wzruszona powtarza. "Dziciatko, nie adrakajsia ad swajej wiery".

Tu teraz tak spokojnie. W cichym blokowym mieszkaniu, przy ul. Mickiewicza. I na fotelu można posiedzieć. I przez okno na ptaszki popatrzeć. Spokojniej niż w 1915 czy 1944 r. I co z tego? I co z tego? Tu wśród obcych.

Było lato. Ciepłe, jak to dzisiejsze. Tylko takie dawne. Z 1915 roku. W Trześciance przestraszone głosy powtarzały: „Niemiec idzie". Będzie znęcał się nad białoruskim narodem. Będzie języki obcinał. Groźna pogłoska przeleciała nad wszystkimi treściańskimi domami. Kto dał jej skrzydła? Ot, dokładnie nie wiadomo. Z cerkwi przyleciała. Co robić? Co robić? Do Rosji. Na tułaczkę. Zakopywano w pośpiechu "skarby", chowano ikony. 7 - letnia Nadzia pomagała rodzicom pakować na drogę najpotrzebniejsze rzeczy, chuściane tobołki. Rodzina Wasiluków nie zabierała ze sobą całego dobytku, zabierała to, co było najważniejsze - siebie. Trzeba było zostawić huśtawkę, małe kotki. Mała Nadzia ze łzami w oczach wpatrywała się w matkę. "Wrócimy, Nadiusza".

Jedna furmanka musiała znaleźć miejsce dla 8 osób z rodziny Wasiluków. Ojciec Paweł, matka Barbary, 10 - letnia Sioma, 7 - letnia Nadzia, 4 - letni Kola, dziadek Konstanty, babcia Łukieria, ciotka Anna. I w drogę. Polacy nie wyjeżdżali. Ale cała ich wieś była prawosławna, to wszyscy załadowali się na wozy. Przeżegnali się. I w drogę. To nie tylko nasza wioska, koleżanka z Konopnickiej opowiadała, że oni "spod Czeremchy pociągnęli aż na Sybir. I kury jeszcze pod pociągiem wieźli".

Ile prawosławnych rodzin ciągnęło tego lata, taborami, po piaszczystych drogach? W "szczęśliwsze", dalekie wschodnie krainy. Oczy "bieżańców" uciekały do opuszczonych chat. Hen, hen...

Treścianka podzieliła się na dwie połowy. Martwa została tam - na miejscu, a żywa Trześcianka poganiała owce, krowy, przeprawiała się przez rzeczki. Dwaj gospodarze powrócili do bezludnej wsi. Za ciężkie wozy, konie się buntowały.

A "bieżańcy" uparcie przed siebie. Kazali im wsiadać do pociągu. Wsiedli. Trzeba było zostawić cząstkę swojej wsi na żelaznej stacji. Konie, wozy, większe tobołki. Zostawili. Taki już los "bieżańca".

Jaka frajda dzieciom w pociągu. Lokomotywa gwiżdże. "Konie tak szybko się męczą, a ciekawe, czy taki pociąg też się męczy?" - filozofowały dzieci. Pociąg sunie po szynach. Dokąd? Do razańskiej guberni.

Rząd rosyjski zajął się "bieżańcami" z Treścianki. Przygarnęła ich wieś Agrofiennaja Pustyń. Nad Oką. Rosyjscy gospodarze serdecznie gościli u siebie "tułaczy". "Toż i oni, i my prawosławni". Biedni byli ci gospodarze, dzielili się swoim "bogactwem". "Wstajemy rano, a na "podokiennikach" często witały nas woreczki z kaszą lub mąką." Mała Nadzia biegała do szkoły, to jeszcze przed rewolucją, to i religii w szkole uczyli. 2 klasy ukończyła w Agrafiennej.

Po rzece pływały barki. Pozwalano naszym dzieciakom wskoczyć na taką barkę. Treściańskie dzieci trzymały się kurczowo rączkami drewnianych bali. Jedyna radość w "bieżańskiej doli".

A tak, to trzeba było pomagać gospodarzom, a jeszcze częściej - żebrać. Tu ziemia była licha. Czasy coraz bardziej chmurne. A "bieżańcy" byli tu tylko gośćmi. Chyba trzeba w świat ciągnąć. "Tak, dziciatko, taki to już los "bieżańców".

Treściańska delegacja wyprosiła u władz zgodę na przenosiny. 25 bieżańskich rodzin spadło na saratowską ziemię. Czarną, żyzną. "Chleborodna ziamielka".

Babcia zostawiła swój "bieżański" los w Agrafiennej w szpitalu.

Babcia Łukievia nie próbowała chleba z czarnej ziemi Saratowa. Oni suszyli chleb na suchary i do Moskwy. Tato pasł owieczki. "Jakoś ciągnęliśmy to wygnańcze życie".

Zimno, mroźno, a oni do cerkwi bez pończoch, w samych trepkach plecionych. Mama się przeziębiła. A akurat nadciągnął czarny tyfus. Po 17 dniach zmarło się mamie. A obiecywała, że wrócimy wszyscy razem.

Głód zaczął pokazywać swoją pryszczatą twarz. Jak długo jeszcze będą zdani na łaskę obcych?

I nagle wiadomość, że rząd rosyjski powiezie pociągiem bieżańców do domu. I przyjechała solidarna Trześcianka na stację. Czekają. Ale już cicho szepczą, że poszły po świecie słuchy, żeby "bieżańców" zatrzymać.

I znów do cudzych. Na wprosiny. Taki to już los bieżańca. Coraz bardziej żywa Treścianka tęskniła za drugą połową. Dziad Konstancin mówił do wnuka Siomy, że jak przyjdzie wiosna, to weźmie kostur i pójdą "pieszkom". "Na rodzinu. Zojdziam praz leto". Zmarł dziadulko, jeszcze przed wiosną. A tak bardzo chciał na treściańskim cmentarzu, przy swoich. Jechali przez całe lato. Do domu. Na wozie tylko 5 dusz Wasiluków. Trzy zagubiły się w obcej ziemi. "Tak dziciatko, taki to już los..."

Koń zachorował i musieli odstąpić od treściańskiej karawany. Ale i oni stanęli w końcu przed progiem Treścianki. Przed progiem zrzucili "swoje bieżańskie szaty". Nareszcie. Po pięciu latach.

Ale oczy robią się coraz większe ze zdziwienia i przerażenia. Prawie cała wieś spalona. Po domu Wasiluków tylko kamienie. Dobytek poszedł w świat. Dokąd? Do kogo?

I po co oni tak zdeptywali tę obcą ziemię? Ci "bieżańcy". Niemcy przyszli sobie i poszli. Tak spokojnie. A wieś to spalili ci dwaj, którzy 5 lat temu odłączyli od karawany. To właśnie tym gospodarzom najlepiej się teraz powodziło. A oni? Tak, jakby Pan Bóg dopiero zesłał ich z nieba. Nagu- sieńkich. Gdyby nie wyjeżdżali...

Wujek przyjął ich do komórki. Potem był spory kawałek życia we własnej ziemiance. I tato tu, w ziemiance, z głodu i chłodu umarł. Tak bardzo chciał mleka przed śmiercią się napić. Zamknął oczy i nie zabrał smaku mleka ze sobą, na tamten świat. Trzeba było pokutować za los "bieżańca".

cdn



Fot. Piotr Sawicki

Krzyż na cmentarzu komunalnym

Pogodne niedzielne popołudnie siódmego czerwca b.r. zgromadziło szeroką rzeszę wiernych, przybyłych z różnych parafii naszego miasta na Cmentarz Miejski (były komunalny) w Białymstoku, aby uczestniczyć w uroczystościach poświęcenia prawosławnego krzyża. Było to jednocześnie pierwsze oficjalne nabożeństwo, odprawione przez naszych duchownych w tym miejscu.

Uroczystość rozpoczęła się od poświęcenia ośmioramiennego prawosławnego krzyża, który stanął obok wcześniej ustawionego czteroramiennego krzyża łacińskiego. Stojące obok siebie krzyże są niejako symbolem tego, iż żyją tu od wieków prawosławni i katolicy, Białorusini i Polacy. Następnie odsłużono akafist "o upokojenni usopszych" wraz z panichidą za wszystkich prawosławnych, którzy spoczywają na tym cmentarzu. Okolicznościowe słowo wygłosił proboszcz parafii Wszystkich Świętych na Wygodzie ks. Aleksander Chilimoniuk. Powiedział on między innymi: "W tym oto dniu składamy Bogu podziękowanie za otrzymany dar modlitwy za tych, którzy często od dziesiątków lat byli jej pozbawieni. Pamiętajmy, iż spoczywają tutaj zarówno ci, którzy nie chcieli mieć chrześcijańskiego pogrzebu, jak też i ci, których pochowano tutaj wbrew ich woli. Spoczywają tutaj także setki prawosławnych żołnierzy narodowości białoruskiej, ukraińskiej i rosyjskiej, którzy w wyniku historycznych uwarunkowań na tej ziemi znaleźli miejsce wiecznego spoczynku. Modlitwa ta niech będzie dla nich liturgicznym pochówkiem, który w warunkach wojny (a w tym przypadku i z przyczyn politycznych) nie mógł mieć miejsca. Złożyli oni największy dar miłości - swoje własne życie - w imię życia i wolności bliźniego, a że stało się to w określonej sytuacji politycznej, nie było ich winą. Modlitwa ta jest dla nich tą radością, którą my przeżywaliśmy w ciągu czterdziestodniowego okresu Paschy. Jesteśmy przekonani, iż dusze tych, którzy tutaj spoczywają, i które poznały już Stwórcę, są nam wdzięczne za modlitwę w ich intencji.

Przynosząc na to miejsce naszą wiarę i modlitwę, złożyliśmy ofiarę, która jest najbardziej oczekiwana przez tych, którzy odeszli do tamtego świata. Niebawem rozejdziemy się stąd, lecz zanim to uczynimy, powinniśmy uświadomić sobie, iż nie tylko przynieśliśmy w to miejsce coś od siebie, lecz także wynosimy stąd pewną lekcję, którą dają nam stojące obok siebie w pełnej harmonii dwa krzyże - będące przecież symbolem tego samego Jezusa Chrystusa. Tę lekcję dają nam także te wszystkie mogiły znajdujące się w pełnym pokoju, ciszy i jakby wzajemnym zrozumieniu, czego niestety często brakuje w naszym codziennym wzajemnym współżyciu".

Szczególne słowa uznania należą się duchowieństwu i wiernym parafii prawosławnej na Wygodzie, staraniem których postawiono ten krzyż. Od tego dnia duchowni parafii Wszystkich Świętych objęli opieką duchową groby prawosławnych znajdujące się na tym cmentarzu. Kolejny dzień, kiedy będzie można poświęcić groby i pomodlić się na Miejskim Cmentarzu w Białymstoku za dusze zmarłych, wyznaczono na jedenastego września b.r. Cerkiew Prawosławna czci w tym dniu pamięć Ścięcia Głowy św. Jana Chrzciciela.

S.N.

NASZY PRYCHODY

OSTRÓW (dekanat Sokółka)

Cerkiew p.w. Zaśnięcia N.M.P. (USPIENSKAJA). Pierwsze wzmianki historyczne sięgają XVII w. Pierwsza świątynia spłonęła podczas pożaru wsi w XIX w., budowę nowej cerkwi ukończono w 1895r. Niestety, świątynia podczas I-ej wojny światowej znowu spłonęła. Nabożeństwa odprawiano odtąd w wybudowanej w 1907 r. na pobliskim cmentarzu kaplicy p.w. św. Włodzimierza. (patrz: "kalandaryjum światau" - str.23)

W latach 1879-1914 w pobliskim Szudziałowie istniała - obsługiwana przez kler parafii Ostrów cerkiew p.w. św. Jerzego Męczennika. Z pozostałych cegieł po zburzeniu jej przez Niemców miejscowa ludność katolicka w okresie międzywojennym wybudowała kościół.

Do parafii Ostrów obecnie należy także cerkiew filialna wybudowana w latach 30-tych obecnego stulecia p.w. św. Jana Chrzciciela w oddalonej o cztery kilometry Grzybowszczyźnie. Ta cerkiew także posiada niezwykle zawiłą historię. Przed ostatnią wojną wokół niej skupiła swoją działalność sekta utworzona przez Eliasza Klimowicza. Po wkroczeniu wojsk radzieckich w 1939 r. "proroka" wywieziono, cerkiew formalnie była bezpańska. Tu znów "wkroczyli" miejscowi katolicy – po potajemnym spiłowaniu krzyży, zamierzali przekształcić świątynię w kościół. Nowi gospodarze - hitlerowskie Niemcy - sporną cerkiew (po upewnieniu się - w jakim celu była zbudowana) oddali prawosławnym.

PASYNKI (dekanat Bielsk Podlaski)

Parafia powstała w 1576 r., posiada także kaplicę na miejscowym cmentarzu.

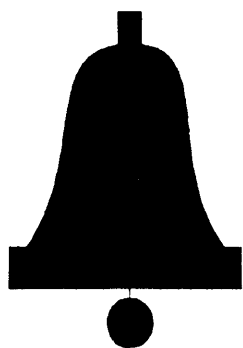
PLOSKI (dekanat Bielsk Podlaski)

Cerkiew główna p.w. Przemienienia Pańskiego (SPASAUSKAJA) z XIX w. W latach 1939-1943 parafia nie istniała - wiernych włączono do wspólnoty parafialnej w Rybołach. Obecnie na terenie parafii znajdują się dwie cerkwie cmentarne - Św. Apostoła Łukasza w Ploskach i Kazańskiej Ikony Bohorodicy w Knorozach.

PODBIELE (dekanat Bielsk Podlaski)

Parafia z XVII w. p.w. Św. Proroka Eliasza.

RODZI SIĘ PRAWOSŁAWNY CZŁOWIEK ...



CHRZEST (c.d.)

Po wspólnym odmówieniu "Credo" (Wieruju wo jedinoho Boha Otca, Wsiedierżytiela...) swiaszczennik podaje kumom świecę - znak wiary i modlitwy. Jak płomień świecy rozjaśnia wokół siebie mrok - tak wiara pozwala rozumieć Boga. Jak płomień świecy rozgrzewa wokół siebie powietrze - tak modlitwa, wiara zachęca czynić dobro. Znów dla kumów okazja do modlitwy: "Boże! Twoim światłem rozjaśniaj myśli i uczucia naszego chrześniaka!"

I tak doszliśmy do najważniejszego momentu Sakramentu Chrztu. Swiaszczennik trzykrotnie znaczy olejem poświęconą wodę, która staje się teraz **materią Sakramentu**. Moment znaku oleju na wodzie nawiązuje do biblijnego potopu. Wtedy bowiem woda była niszczącym żywiołem, dopiero unoszący się nad nią gołąbek z gałązką oliwną zwiastował odrodzenie życia na ziemi. Zbawiciel powiedział: "Jeżeli kto nie narodzi się z **wody i Ducha** - nie może wejść do Królestwa Bożego." - Z wody i Ducha ... a w czasie chrztu Jezusa w Jordanie Duch Święty ukazał się w postaci gołębicy! Dziecko namaszcza się także olejem. Wypowiada się przy tym modlitwę, która w tłumaczeniu na język polski brzmi: "Namaszcza się sługa Boży (imię) olejem radości, aby rozumiał wiarę, na uzdrowienie duszy i ciała, gdyż ręce Boga stworzyły i uformowały go, by ścieżkami Bożymi chodził". Nie trzeba chyba udowadniać tego, iż kumowie powinni łączyć się z kapłanem w tej modlitwie, tym bardziej, że w chwilę później swiaszczennik bierze dziecko i zanurza je w wodzie. Z żalem stwierdzam, że jeszcze w bardzo wielu parafiach brakuje warunków do chrztu przez zanurzenie i ciągle stosuje się tam chrzest przez polewanie. Jest to jednak kłopot nas wszystkich, a nie tylko duchownych, i uważam, że roztropne współdziałanie pozwoli ten zapożyczony zwyczaj "polewania" przezwyciężyć.

Wróćmy więc do tego najważniejszego momentu chrztu. - "Kreszczajetsia rab Bożij (imię) wo Imia Otca. Amiń. (Zanurzenie lub polewanie). I Syna. Amiń. (Zanurzenie). I Swiataho Ducha. Amiń". (Zanurzenie). Z doświadczenia wiem, że wielu dorosłych, nie tylko prawosławnych ale i rzymsko-katolików, słowo "Amen" tłumaczy na zasadzie skojarzenia, że jest to koniec modlitwy. Proszę mi wybaczyć sarkazm, ale minimum wiedzy jest konieczne, by nie być podobnym do pustego kłosa - unosi się nad innymi, a gospodarza nie cieszy. Słowo "Amiń" znaczy "tak", "zaiste", "niech tak się stanie". Dlatego rodzice chrzestni powinni powtarzać słowo "Amiń". Prześledźmy więc jeszcze raz formułę chrztu, ale już w tłumaczeniu. - "Chrzci się (inaczej rodzi się dla Boga z wody i Ducha) sługa Boży ... w Imię Ojca", i swiaszczennik zanurza dziecko, a rodzice chrzestni mówią: "Niech tak się stanie", swiaszczennik: "I Syna", kumowie: "Niech tak się stanie", swiaszczennik: "I Świętego Ducha", kumowie: -"niech tak się stanie".

Czy można ułożyć piękniejszą modlitwę? Czy w ogóle trzeba układać piękniejszą modlitwę, gdy rozumie się tę, która istnieje od wieków?

Następną czynnością chrztu są obłóczyny, tzn. baciuszka nakłada nowoochrzczonemu dziecku koszulkę lub pokrywa je białym płótnem, z którego później będzie uszyta koszula, np. do szkoły, ślubna. W tym momencie śpiewana jest pieśń "Rizu mnie podażd swietłu..." (Szatę daruj mi światłą Ty, który światłem okrywasz się niby szatą, miłościwy Boże nasz). Najczęściej zdarza się, że równocześnie z chrzczonką daje się dziecku i krzyżyk, który będzie ono później nosić na piersi jako znak przynależności do Chrystusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego. Mówię najczęściej, gdyż bywa tak, że krzyżyk podają w czasie pieśni "Jelicy wo Christa krestitiesia..." Jest to drobna różnica w praktyce, która nie zmienia istoty, a jedynie pozwala tę czynność wykonać bez pośpiechu. *cdn.*

AR

КАЛЕНДАРЫЮМ СВЯТАЎ

15/28 VII.
Мучанікаў Кірыка і Юліты.
Св. князя Уладзіміра. Сьвяткуецца ў парафіі Вострава (к. Крынак) - царква на мясцовых могілках.

20 VII./2 VIII.
Св. Прарока Ільі (IX ст. перад нар. I.X.) Прыхадскія святы ў Бельску (в. Грыневічы), Дайлідах, Дубічах, Ячне, Падбелі. **Св. мучаніка Афанасія Брэсцкага** — вялікага святога беларускай зямлі з пачатку XVII ст.

22 VII./4 VIII.
Св. Марыі Магдаліны. Асабліва сьвяткуецца ў гэты дзень у Эльблёнгу, а таксама ў прыходзе св. Мікалая ў Беластоку, дзе знаходзіцца царкоўка распаложаная на ўзгорку такога ж самага названня.

25 VII./7 VIII.
Успення св. Анны, Маці Прасвятой Багародзіцы.
Прыхадскія святы ў Гіжыцку, Каралёвым Мосце, Крушынянах і Старым Корніне.

27 VII/9. VIII.
Св. Вялікамучаніка Панцялеймона. Свята ў прыходзе Семяноўка.

1 VIII./14 VIII.
Пачатак Успенскага Посту.
Гэты пост прадаўжаецца 14 дзён да свята Успення Прасвятой Багародзіцы.

6 VIII./19 VIII.
Прэабражэнне Гасподне.
Гэта адно з 12-ці вялікіх святаў Праваслаўнай Царквы. Асабліва ўрачыста сьвяткуецца на Св. Гары Грабарцы, у Браневе, Клейніках, Мрангове, Наваберазове, Плёсках, Тапалянах.

15 VIII./28 VIII.
Успенне Прасвятой Багародзіцы.
Прыхадскія святы ў Чыжах, Дубінах, Кляшчэлях, Вострaве, Старасельцах, Вайнове, Заблудаве.

Падрыхтаваў В. Х.



Cerkiew w Jacznie.

Fot. J. Choruży

O katolicko - chrześcijańskiej miłości bliźniego

(Z listu Józefa Marii Bocheńskiego do "Gazety Wyborczej", 13.05. b.r.)

"Szanowny Panie Redaktorze, w 93 nr. Pańskiego poczytnego pisma ukazała się wypowiedź jakiegoś wysoce inteligentnego czytelnika, który przypisuje mi, o ile dobrze zrozumiałem, pogardę dla liturgii prawosławnej. Chodzi o nieporozumienie, bo pisałem po prostu o wyciu pijanego czerńca, które z liturgią nie ma nic wspólnego. **Że ja moskiewskiej kultury nie lubię, to inna sprawa; ale liturgia jest, moim zdaniem, tym, co w niej jeszcze najbardziej znośne.**"

Józef Maria Bocheński jest teologiem, filozofem i pisarzem katolickim.

Pokłamują czerwone pajączki

Olśnienie nawiedziło w końcu i dziennikarzy gazety Włodzimierza Cimoszewicza pod tytułem "Gazeta Tygodniowa". Otóż jeden z bardziej piśmiennych z nich (czytaj - rodzynek), znalazłszy uprzednio w majowym numerze "Czasopisu" w rubryce "Z druku" dwa błędy korektorskie, żeby do końca dobić białostockich kacapów poczynił, zapewne nieumyślnie, gnany euforią wiekopomnego odkrycia, pewien istotny błąd merytoryczny. Otóż piśmiennik ów, zamiast znajdujących się w oryginale niewinnych słów "będą mogli" niefrasobliwie wstawił "będą musieli". Z tej małej kombinacji wyszło, iż dziennikarze "Niwy" i pisarze ze Stowarzyszenia Literackiego "Białowieża" będą musieli raz w roku pojechć na Białoruś, by tam...., reszty można się domyślić.

Z podobnymi tej manipulacjami raczej się nie polemizuje, gdyż jest to gorszący przykład, w jaki sposób z demokracji i wolności prasy korzystać nie można. Odstąpiłem od powyższej zasady jedynie z jednego powodu - aby publicznie zapytać dobrodzieja i chlebodawcę "Gazety Tygodniowej", co myśli o tego rodzaju praktykach. **Panie Pośle - czekamy na odpowiedź.**

Ukraińcy nad Buhom i Narwoju

Po półrocznej przerwie ukazał się drugi numer Ukraińskiego Pisma Podlasia "Nad Buhom i Narwoju". Estetyczny wygląd, dobrej jakości druk i papier nie koresponduje jednak z merytoryczną zawartością pisma, a nieaktualność poruszanej problematyki czy faktycznie jednolite ich autorstwo nie jest w tym przypadku największym minusem. Głęboko zaskakuje taktyka przyjęta przez redaktorów pisma i liderów ukraińskiego ruchu na Podlasiu.

Czy stawka na totalną konfrontację z ruchem białoruskim, manipulacja wypowiedziami jego działaczy, posądzanie ich o antyukraińską zmowę czy ignorowanie przez nich terytorialno - etnicznych roszczeń podlaskich Ukraińców .... (co jest niezwykle intensywnie artykułowane w piśmie) jest najwłaściwszym rozwiązaniem? Rodzi się wreszcie pytanie - komu tak naprawdę jest to potrzebne? Dlatego też w zupełności logicznym jest zapytanie Sokrata Janowicza ("Niwa", Nr 24(1883) - **"I kamu wy, ureszcie, harbatu sałodzicie?".**

"Wiadomości Bractwa"

Ukazał się również pierwszy numer "Wiadomości Bractwa" (młodzieżowego w Białymstoku). Zespół redakcyjny o założeniach pisma mówi w nim m.in.: "(...) Przed naszym pismem postawiliśmy dwa zasadnicze cele. Przede wszystkim, chcielibyśmy, by "Wiadomości" były swoistą kroniką naszej organizacji, która odzwierciedlałaby minioną działalność oraz przedstawiała przyszłe zamierzenia. Ponadto pragnęlibyśmy również publikować artykuły dotyczące naszej wiary, które pobudzałyby do refleksji i zachęcały do pogłębiania wiedzy o prawosławiu.(...)"

Nowej redakcji "Czasopis" życzy wytrwałości w pracy i systematycznego wzrostu poziomu wydawanego przez nich pisma. Ze swej strony chciałbym jedynie zwrócić uwagę, że problemy religii i kultury narodowej jej wyznawców są ze sobą nierozłącznie związane (i nie jest to bynajmniej teza zaczerpnięta z klasyki nacjonalizmu czy fundamentalizmu). Tymczasem, nowa redakcja, miejmy nadzieję że tylko w pierwszym numerze, tego drugiego zagadnienia zupełnie nie dostrzega. Moim skromnym zdaniem (bardzo proszę nie traktować tego jak pouczenia), jeżeli "Wiadomości" nie mają być pismem okazjonalnym, jakich nazbierało się trochę na "naszym" podwórku, to i ta problematyka powinna znaleźć w nich należne jej miejsce.

Naiwność czy perfidia?

Profesor Wiktor Zin, pisząc o sytuacji na Chełmszczyźnie w ostatnich latach przed wybuchem II wojny światowej, w tym również o **zaplanowanej przez polskie władze państwowe akcji niszczenia cerkwi prawosławnych**, stwierdził między innymi: "Ten normalny bieg rzeczy (mowa o zgodnym współżyciu ludności różnych wyznań i narodowości) zakłócony został w pod koniec 1936r. Na ogół mówiło się "zabrakło Piłsudskiego". Może i to wpłynęło na zmiany polityki w stosunku do "tutejszych". Z perspektywy lat widać jednak, że na terenie ówczesnej Polski rozgrywać zaczęto osobliwą, arcyniebezpieczną w skutkach walkę o ludzi, których wnet zacznie nazywać się mniejszością. Władze polskie stały się narzędziem jakiejś gry. Jak bowiem z perspektywy lat ocenić decyzję o burzeniu cerkwi? (...) Trudno dziś ustalić, czy inicjatorem tych akcji było Gestapo, czy NKWD. Pewne jest, że nie leżały one na pewno w interesie Polski.(...)"

Jedynie przez szacunek dla siwych włosów profesora powstrzymam się od komentowania powyższego stwierdzenia. **No bo i co tu komentować.**

Wokół dotacji

Zmuszony jestem sprostować wypowiedź posła E. Czykwina na łamach "Przeglądu Prawosławnego" Nr 6 (84). Otóż wymieniona tam suma "ponad 1 mld zł", którą rzekomo mają otrzymać redakcje "Niwy" i "Czasopisu" jest niestety nieprawdziwa. Dotacja przyznana na wydawanie obu tych periodyków wynosi: "Czasopis" - 152 mln zł, "Niwa" - 700 mln zł.

Swoją drogą, dziwnym wydaje się być sposób myślenia E. Czykwina. Bo kiedy w ubiegłym roku roczna dotacja na wydawanie czterech stron wkładki w językach białoruskim i ukraińskim dla "Przeglądu Prawosławnego" wynosiła 100 mln zł (przeszło 2 mln na 1 stronę), to poseł i redaktor naczelny w jednej osobie nic nie mówił o "wielkiej odpowiedzialności osób dysponującymi tymi sumami". Panta rei - albo - punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia.

AHLADALNIK

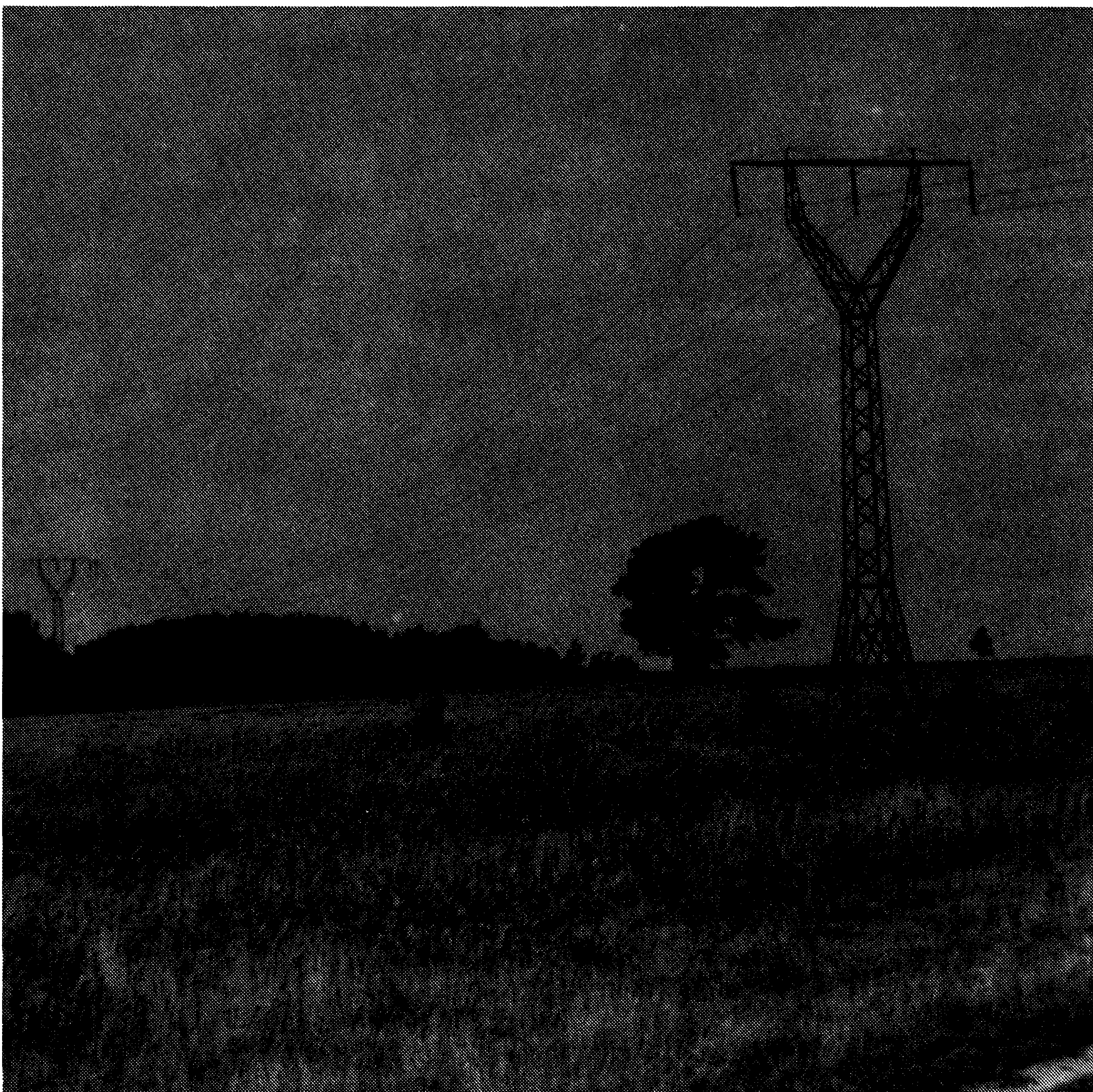
МІРА ЛУКША

КЛІНОК

Андрэй ішоў з касой на плячы, нагостранай што брытва. Кляпаў яе быў на цямочку дзед Іван, лёскатам адбівалася рэха ад сцяны сіняватага, зацягнутага радзеючым туманам лесу. Андрэй накінуў на мускулістую, гарачую спіну выпалавелую кашулю, босай нагой уступіўся ў старыя, з прытаптанымі пятамі чаравікі (ці памяталі яны тыя мілыя часы, як тупалі на «людовых забавах» у вясковай святліцы?), прыхапіў скарынку хлеба.

Пакуль раса, скасіць трэба клінок у Куце. Няма чаго гнаць туды касілку ці кароў весці - там пашы для адной ледзьве будзе, а можа і не. Трава выбуялая, як на першы пакос, каленастая - ледзь угрызешся. Добра, што луг роўны, вясной добра разбілі крацінае куп'ё, камяні ўжо не трапляюцца, голля ды каранёў няма, зямля дагледжаная - касьба лёгка пойдзе, можа толькі раз-два прыдзецца мянташкаю праехаць па вастрыю касы.

Андрэй любіў хадзіць у Кут, на клінок. Сярод роўна парэзаных у квадраты і прамавугольнікі, высушаных на пачатку шасцідзесятых гадоў, потым «камасаваных» лугоў і палеткаў, клінок, аброслы старымі кучаравымі алешынамі, нізам падбітымі рослай крапівой, дурнап'янам, лапухамі і дзіваннай, быў відзён здалёк, хоць быў невялікі, сотак з пяць. Зімой на цаліку снегу вырысоўвалася кучка чорных дрэваў, шальпацелі сухія стрымбулі гострай травы, сітніку, трысця, бурыя лісткі бяльнёгу. Андрэй ніколі не выкошваў зелля пад альшынамі - на крапіве жылі вусені, з якіх выраcталі цудоўныя, каляровыя матылі. Андрэй бачыў у тэлевізары фільм пра іх жыццё, прыгледзеўся крапіве пад дрэвамі на клінку: праўда. Вясной пільна раскідаў краціныя чорныя купіны, прыходзіў часта потым, чакаў, калі прыдзецца касіць. Чакаў, калі зацвітуць усе кветкі, усе траўкі - толькі на клінку захаваліся такія духмяныя зялінкі, сыпучыя залатым, казытлівым пылком, далікатныя, трапяткія вяхоткі і



Фота Юркі Трачука

гронкі, якіх імя не ведаў. Ну, травы, травінкі, інačай не скажаш. Дзед Іван таксама не ведаў іх назваў, ды і нашто яму. Казаў Іван: «Трава е на тое, каб яе скаціна ела». Вядома, такой карове больш да смаку трава ляcная, духмяная, сакавітая; яна зімой у катуху такую травінку знойдзе, пысай выбярэ, пасмакуе, аж вочы завядзе, задумаецца, бытта засне, але хто яе ведае, карову, ці яна ўвогуле думае. От, абы добра напоўніць страўнікі, і каб потым выдаілі!...

Высушылі балоты, перааралі зямлю аж да глею, паварочалі торф і пасеялі новую траву, з найлепшага, чыстага, карыснага насення.

Баба Люба сушыла пад бэлькаю рознае зелле, але Андрэй пазнае толькі зверабой-дзіравец, кацанкі, што залоцяцца на сухім узлеску ды духмяны палогі лясны чабарок. І ганарыстую дзіванну з атласовымі жоўтымі пялёсткамі, і конскі шчавух з чырвонымі мяцёлкамі. І злосную гарупу, і таболкі з плоскімі сумачкамі зярнятак. І грэчачку, і рамонак, і павой-бярозку, што ўецца ў бульбе. І валошку-васілёк, і куколь, шкоднікаў збажыны...

Ад перасохлага рову, ад застаўкі парослай зялёным, дайшоў да Андрэя пах устаялай вады. Яшчэ яна не нагрэлася на сонцы, што нясмела падымала туман. Андрэй канчаў жаваць скарынку. Хлеб ставаўся ў роце ўсё больш салодкім.

Раса хутка высыхала на траве, толькі нізам мільгацела, іскрылася. Андрэй скінуў чаравікі, цяжкія ад вільгаці. Папляваў у далоні і ўзяў першы ўзмах.

Ціўкнула-ужыкнула каса, хруснулі травы, роўна ляглі набок. Штосьці ціўкнула-крыкнула перад Андрэем.

Гэта быў жаўрук. Ён тут схаваўся, сюды перанёс сваё гняздзечка з лугоў, што хацелі пагрэць на ранішнім кволым сонцы свае голыя выстрыжаныя ўлонні.

SOKRAT JANOWICZ

DOLINA PEŁNA LOSU

-2-

* * *

Mieścina ta nasza - zakopana w dolinie,rozsiadła jak gdyby na półwyspie płycizny przedbiblijnego jeziora - z garbów okalających ją Łapickich Hor, zwanych także Kobylimi, albo z płaskowyżu Prafitki sprawia wrażenie rozległej rafy kolorowych muszli w wodorostach brzóz i topól. Widoczne są martwicze plamy z poczerniałymi dziąsłami fundamentów. Czas, ów pracowity dentysta, ubytki wypełnia perlistymi domkami.

Pierwszym wyruszył na pustkowie pożaryszcz mój ojciec, tuż po połowie lat czterdziestych: wznosił przestronny dom pośród gruzów i zarośli ostu. Tkwiąc na tym wyrudziałym wydmuchu, pewnej wiosny zauważyliśmy, że ktoś u ujścia Kościelnej do bezludnego ryneczku wygradza siedlisko. Zrobiło się weselej...Napisałem wiersz o Stalingradzie. Wsłuchiwałem się w opowieści tych, co wracali ze świata, przychodzili w angielskich drelichach lub “himnaściorkach”, wyżyli. W mordercze żniwa byli kaprale, gawędzący o Europie, potulnie brali do ręki ubiegłowieczne sierpy. Nikt nie przewidział zdumiewającego ludobójstwa. Wszystko wokoło wypalone, wystrzelane, wytrzebione, wdeptane; podrygiwały ogony niegdysiejszych ulic, ich końcówki w kępach klonów i nieźwiedziowatych lip. Co za rozpacz, co za niesłychane, niewidziane spustoszenie... Nie ucichło w uszach wycie myśliwców z kpiną krzyża na skrzydłach. - Mama, ja chaczu żyć! - płakałem przez sen.



Mozoląc się z budowaniem tego domu na pustkowiu pogorzelisk, stary nielicho naraził się zapyziałemu miasteczku owym saksońskim fasonem... Na zdjęciu: autor w sztubackim uniformie, w Wielkanoc 1951r.

I chociaż ostry stuk w szybę w środku nocy już nie znaczył nic innego jak kolejną kłodę sośniny, przywiezionej przez zaprawionych w rabowaniu lasu, mać zrywała się z posłania i w lunatycznym popłochu wywracała stołki i taborety. - Ja umrę przez tych złodziei! - pomstowała. - Co ci jest?! - wściekał się rozbudzony ociec. - Nie mogliby to oni za widna? - uspokojała się, opanowując dygotkę. - Przecież sama widzisz, że władza pojawiła się i łapie, - kontrował jej lamentowanie. - Może starczy tego nam na wszystkie ściany? - pytała za każdym razem. - Brakuje na letnią kuchnię i poddasze, - objaśniał. - Po co dla nas tyle kuchni i pokoi? Nie możemy to budować się, jak ludzie? Niemcami przezwą! - A niech tam, ale dom będzie z weneckimi oknami, jak w Saksonii...

Plac pod budowę kupiono po przystępnej cenie od spieszącego do Ameryki Rubina Kapłana, ocalałego z pogromu potomka Eli Szyszlewicza, oraz Altera Kozolczyka i Zelmana Chackiela. Oto pierwsze nazwiska, dokumentujące regres cywilizacyjny okolicy. Za nami poszli inni, przemieniając wybrukowane podwórce i pozostałości garbarń w ogrody kartofli, buraków pastewnych, tudzież ogórków; sadzono zimowe jabłonie. Pług wyorywał czajniki, żeliwne garnki, klamki i monety; przedwojenne groszaki oczyszczano i chowano, bo powiadali, że będą je wymieniać; znajdowano całkiem nie wiadomo czyjego państwa. Ta archeologia męczyła, zanim urobiona i wynawożona gleba przestała wreszcie przeszkadzać ratajom przeróżnymi dziwolągami. Czopy garbownicze zasypano, z trudem wyłamawszy zeń łomami cementowe krawędzie; płodziły się na nich śliwki i wiśnie, dające owoce tak bujne, że bano się je do ust włożyć... Popioły pożydowskich siedzib napędzały dostatku do chłopskich dołów ziemniaczanych, buraczanych, a marchew wyrastała w nieprzyzwoitej wielkości kształty, bogacąc babski folklor płciowy. Razu jednego koń z oraczem zawalił się i starczyło mordęgi z wywlekaniem go z obszernej piwnicy, z której wirował odór o niespotykanym zapachu. Udrękę sprawiały urwipołcie, zapadający się w szamba. Wyczerpywano kloaki do suchości dna; nic się nie zmarnowało. Z nawalisk cegieł niejeden piec odnowiono w chałupie.

Zapominano o właścicielach owych posesji. Żeby lepiej się poczuć z tą wpadającą do rąk zdobyczą powojenną. Mając na uzasadnienie powód niebagatelny: tylko na cmentarzach ziemia ma prawo pozostawać nie ruszona.

Rozprawiano o trafunkach złota. Ponosiła fantazja, wspierana rosyjskimi balladami o kupcach, śpiewanymi na świątecznych ochlajach. Jeśliby okazywały się one prawdą u nas, to szkoda skarbu: pożytku nie byłoby. Sparaliżowany jego blaskiem prostak zwykle dostaje obłędu, co rokuje tragiczny koniec i rozpad rodziny. Przyplątał się skądś kawał o diable, srającym połyskliwymi dziesięciorublówkami...

Gwiazda zaranna. Wielki Wóz chyli się na zastodole, zda się dotykając słoneczników, którymi obsiewano koniecpola. Czas wyganiać bydło na łęgi, hen w zapole, w grzęzawę, porastającą dziką trawą, pośród okolicznych jeziorek, które rozkosznie bywało wyobrazić je sobie w gęstwie puszczy praojców Jagiełłowych. W zielonych buchtach, w wodorostach mielizn czarną błyskawicą śmigały szczupaki i wypryskiwały nad wodę stadka rybich maleństw, niczym krople zbliżającej się ulewy... Zrzuciwszy z siebie odzienie chciało się powoli wchodzić w chłodną przejrzystość, zstępując z nagrzanej łachy. Najtrwożniej jest wtedy, gdy przywołasz do wyobraźni owe głębiny i omszałych ze starości sumów; słyszy się, iż pożerają one pisklęta. Łabędź stał się bohaterem wyszywanki na makatce, odkąd zwiedziano się o jego dozgonnej wierności raz wybranej łabędzicy. Czy to dla piękności tak on? - I-ii tam, - wpieniał się na ową aluzyjność ojciec, - czyżby widział kto zmarszczki u ptaka? Pomyślałby ktoś, że on zdradza swą starą, kiedy tym czasem nie potrafił nawet przytrzymać ją w męskich cuglach. Antytalent na kobiety z niego, oględnie mówiąc: wół roboczy. Te chłopskie miłości kalkowano według dworu, a obśmiewano podług księżych przygód. Kawalersko-panieńskie przechadzki przed oknami w jaśminowe popołudnia niedziel nie wykraczały poza przymiarki do ewentualnego wiana. Na zdrowy rozum biorąc, po cholerę

się żenić?! By nędzne przeznaczenie powtarzać i przedłużać? Starzy kawalerowie reprezentowali sobą pewien intelekt, zaś dziewoje - kompletne zdziwaczenie. Ot, jaka niesprawiedliwa ta natura! Wszystko, co żeńskie w niej, musi rodzić niemal bez wytchnienia. Plenić gatunek, gdzie się da i gdzie się nie bardzo daje. Wesele syna przynosiło zysk i perspektywę, mniejsza o to, jaką, ale jednak. Wesele córki winno nazywać się inaczej, bowiem straty, jakie pociągało za sobą u biedaków niewiele odbiegały od nieszczęścia pożaru. Żona, powijając synka, zyskiwała na atencji męża i jego rodziny; syn w dom, to jakby powtórzenie posagu albo i ponadto. Dlatego urodzenie dziewczynki nie fetowano hałaśliwym uradowaniem, a jeśli przytrafiło się to rodzicielce w któreś z rzędu rozwiązanie, spadała do pozycji ledwie tolerowanej, traciła zwyczajowe prawo do samoobrony.

Klony przy drodze na Prafitkę dostawały rumieńców przedjesieni. Wokoło - pszenne słońce i szał zapachów. Nic, ino śpiewać i śpiewać... Cięły komary z nieomalże ludzką zawziętością. Pojawiały się one równocześnie z odejściem wiatru, za jego ostatnim poszumem. Zlatywały się nie wiedzieć skąd. Ciężarna chmura długo lazła po steranym horyzoncie; nabrawszy impetu i błyskając złością załopuszyła niebiosa. Pierwszy raz tak pociemniało. Nad głowami rozpękło się, uderzyło szrapnelami nawałnicy. Kucały wierzby. Kulejąc, deszcz poszedł gościńcem w opole.

O zmroku zjawił się wujaszek z chutoru za łąkami. Wszedł do sieni cicho, że w izbie nie posłyszano. Pies nie zaszczekał, bo go znał. W obejściu snuł się spokój po obrządkach. Więc kiedy rozwarły się drzwi do kuchni i na progu stanął wielgachny cień w sowieckim długim płaszczu bez pagonów, ojciec wytrzeszczył gały, a matka o mało nie przeżegnała się omdlewającą ręką, z której wypadł kubek z niedopitym przy kolacji mlekiem, i z brzękiem toczył się do stóp zwidu, niczym na jazgotliwe powitanie. Marny poblask od lampy naftowej niczego więcej nie pozwolił zobaczyć, lecz ja w mig odgadłem, kto zacz tam chrząka i posapuje. - Bodajbyś sczezł! - dochodziła do siebie matula. Jesteś gorszy od bandziora, ty mnie do grobu wpędzisz tym swoim tajnym przychodzeniem, tobie ino duchy iść straszyć na rozstajach!...

Kiedyś, w sam środek okupacji, uprowadzono mu konia. Z przyjściem Niemców ów fach jakoś zanikł, bo też w razie czego i wpadki, rozsądzał karabin (zdarzało się, że chałupniczy "obrzyn"). Trochę dziwili sami ci złodzieje - wywiedli siwka przy księżycu, w zimową cichość. Ślady były takie, że i ślepy zobaczyłby je, aliści kierowały się na przełaj do lasu. Uzbrojeni? Zapewne, ale i wujo nie z gołymi rękami. Za polskich czasów miał ukrytą w oborniku "vintoukę" Mosina, po bolszewikach w dwudziestym roku walała się na podorędziu. Chadzał na brakonierkę, póki nie dowiedział się o tym komendant policji granatowej i postawił warunek: proszę bardzo, jednakże nie ma nic za nic - pilnie potrzebował szpicla na temat wsiowych komuchów. Wymigując się więc od judaszowania, cisnął to barachło do Czortowego Bahna, że aż bryzgi trysnęły i bóbr walnął ogoniskiem pod łoziną. Może i nie bóbr, jeno wydra... Bojał się, że poprzednika na tym obywatelskim podsłuchiwaniu znaleziono na Spasa jako topielca w Podhajnym ruczaju, o bezdenności którego śmiech mówić? Wujaszek był nie ze sraluchów, szło mu tu o honorność. Gdyby sierżantował na posterunku swój chłop, Białorus, to pogadałby z nim, by po dobremu odknaił się. Ale z Polakiem jakaż rozmowa? Ten srakotłuk wie tylko swoje: dawaj i dawaj! Upiekło się wujaszkowi, bo na schyłku lata, niebawem, wybuchła wojna. Zjawili się sowieci, o których wolał nie opowiadać, a gdy Niemiaszko i ich pogonił, on, grzebiąc pobitych w łanie żyta sołdatów, zachachmęcił kulomiot Diegtiarowa. Ładna sztuka; wypróbował nie zwlekając, wypuściwszy serię do wron (trzy spadło). Z nie byle czym więc postanowił odbić młodego konia. Węch miał i czuł wiatr. Zdybał bandę w Sosnowickim borze i zdrętwiał na widok tego, co te łachmyty wyprawiali: palili ognisko i żarli koninę, niczym wilcy poprzebierane. Wyskoczył do nich z Diegtiarowem; nie chciał strzelać, co z wojskowego punktu widzenia należałoby uznać za podstawowy błąd. Słowo po słowie i okazało się, że zamierzał wykosić zbłąkany oddział partyzancki. I że nie może już wrócić. Jednakowoż powrócił, klnąc na czym świat stoi swą słabość do broni; czego odmawiał komendantowi, przyrzekł był tym oberwańcom. Stawka, widzicie, była nie ta...



Niemal historyczny moment: Janowicze porzucili sierpy na rzecz kosy. Na przednim planie: mama z synową. W głębi: ojciec (we dnie rolnik, a wieczorami - szewc i kamasznik)

Tą przysięgę wtedy, przy pieczeni na indiański sposób - cienkie i szerokie pasy mięsiwa nad płomieniem - przeżył podwójnie, albo i potrójnie (rozszyfrowała i dała mu w czapę grupa poakowska do zadań specjalnych). Na razie dzban wodę nosił - udawał oddanego nam krewniaka z bezdzietną żoną, zaaferowanego pookupacyjnym ładzeniem życia; w mrok łacno było mu wychynąć z naszego domostwa do niedalekiej linii Curzona, za którą niecierpliwie wyczekiwali go enkawudziści, ciekawi, co porabia zbrojne podziemie tudzież "zapluty karzeł reakcji" w przygraniczu. Ojciec domniemywał czego innego, wcale nie niepokoił się. Matka zwęszyła proch, i aż ją zatkało od tego odkrycia; skórą wyczuła nieszczęście, chociaż było do niego póki co szmat czasu. Jej gadatliwość urwała się. W powietrzu wisiała burza, oberwanie chmury z gradobiciem.

* * *

Aby móc pięknie przypomnieć sobie las, trzeba upalnego lata. Dla mnie ta gęstwa to od maleńkości moc wroga, z zawzięcie pijącymi krew bąkami, z lepkim chłodem listowia w deszcz, z nieprzytomnym łaknieniem przy całodziennym zbieraniu jagód na porębach, z duszącym zapachem suszonych w chatynce grzybów, z czerwiącymi się wszelkim paskudztwem wykrotami, z pohukiwaniem licho wie czyim i co zwiastującym, z kosmatymi

→

duszkami czyhającymi za zakrętem na wracających o zmierzchu, z odliczającymi ci lata zazulami-kukułkami, z leniwym wężem w nagrzanej kurzawie kolein, i tysiącem innych ohydności. Chodzić do tego zielonego piekła znaczyło biedować, cienko prząść, jadać zielsko, w piecu palić chrustem i poglądać na biały szron nad wyrem w kącie, w gromniczne mrozy; dziczyzny strzegł gajowy z dubeltówką. Chociaż i zadawał się on z panami, nie wychował się mówić inaczej jak krzycząc, czyli po kmiecemu. Wpadł do wilczego dołu na ryjowisku dzików w Czortowej Chacie, brzuch mu ponoć popruł się na ciosanych palach, ale wylazł, flaki pozbierał za sobą, w krynicy przepłukał, dbale z powrotem powkładał do bandziocha i zeszył go dratwą, od pępka do jaj... Takiej cholerze nigdy nic się nie stanie!

O puszczy myślałem ciepło, gdy gadka dochodziła do smolistych kłód na podwaliny. Sąsiad miał ogiera, którym w odwieczerz przywiózł długachną sosnę; piana spadała z bydlaka płatami, a i jego gospodarz też nie chędożniej wyglądał. Drzewo przytachał bez asygnaty, straż leśna w sianowanie "podała się w bandy". Łepetynę nosił on nie od parady, wnet zmitygował, że trafia się okazja. Z następną przywózką poszło wszakże gorzej: dostał przepukliny, zwanej u nas kiłą. Nikogo nie brał do spółki, sam ładował, srogo popierdując. No i zaczęła mu się ześlizgiwać z wozu ta potworna grubizna. A co jest wart chłop z przetrąconymi kulasami? Jeszcze i mrówki zagryzą i wilki rozwloką... Nie dopuścił do nieszczęścia, aż w oczach mu ściemniało i jakby kosą cięło w pachwinę; potem obejrzał się, że przybyło mu - wstyd wyznać - cościk na kształt drugiego kutasa. Z dwoma, to nie z jednym, - wolne żarty.

Przyszedł w dolinę jakiś frajer i powiada:

- Chceta niemieckiego złotka? Jak chceta, to chodźta.

Ojciec po wysłuchaniu mazurskiej odezwy potrząsnął czupryną, z czego ani nikt nie wyrozumiał niczego. Małej powagi ów kurdupel i jak gdyby na kaczych łapach, z troskliwością kwoki zajrzał nam w twarze; nic z nich takoż nie wyczytał, może prócz błękitnookiego chłodku niechęci wielkoludów przy kości do chuchra.

Ale wnet po środzie na piątek zwrócił naszą uwagę ziomek, prujący przez wieś, o mało co dupy nie gubiwszy. Przeczucie tknęło, jak zawsze, matkę: dał się złapać Mazurowi! A i owszem, mużyk skarbu nie przepuści.

- Cośta taki wesolutki? - zagadnęła go.

- Oj, miła, i nie pytaj! - zapiał tamten.

- Żonka, pewnikiem, wygodziła... - chlapnęła moja matuleńka.

- Co mi tam teraz ona, - odparł uradowany. - Powiem wam tyle, że spotkało mnie szczęście do końca życia, i dzieciom moim starczy. I przygadał zaocznie:

- Jeśli się nie rozpiją.

Zaraz kapnęliśmy się, że chwycił haczyk. Niefajne to złoto było od pierwszego pojrzenia, bo niby któż z takowym bogactwem po obcych krąży, przy tym zjechawszy Bóg wie skąd... Jasności przydał przykład lisa, który nie dusi kur w pobliżu swojej nory.

Jakoś drugi z naszych też jął latać z przejęciem, nie przymierzając jak panna przed ślubem. Tajnica owych sztabek bankowych wydała się na Matki Boskiej Kwietnej. Lśniąca żółć połuszczyła się, niczym wiekowa polichromia w cerkwi, i nie dowierzający swym ślepiom szczęściarze zobaczyli pod nią hartowne żelaziwo kowalskiej roboty. To, co po tym działo się, letko równać ze świętopismowymi przypowieściami o biciu żon na pustyni lubo z gonitwą wieprzy na pohybel w jezierze... Ten drugi zaprawdę dostał pomieszania, urżnął się siwuchą i zalazł pod ławę niezwyczajnie, drewniane nogi zacieśniły mu boki i podźgał z nią na grzbiecie, jak kundel z uczepionym karku kotem. Rzucił się topić w gliniance i ile się nie starał, sucha decha wynosiła go na wierzch. Aż ochłonął. Przyskoczyli do niego zedrzeć mu z pleców owo pośmiewisko, lecz mądrzejsi powstrzymali: niechaj pobędzie, bo znowuś bulknie z brzega... Ano.

Tamten pierwszy również szalał, aliści rozpaczą cichą a pracowitą: zmajstrował szóstego dzieciaka swej kobiecie. I w tym samym zapamiętaniu rozprawiczył najstarszą córkę, niechcący; w ciasnocie sypiała. Szkoda niewielka, obeszło się bez brzucha. Lament głupie podniosły; głośniejszy stara, uderzywszy w płacz nie wtedy, kiedy trzeba było, toby ojciec nie pomyliłby się po omacku.

- Bujasz! - odszczekiwał, skarżąc się na mistyfikację.

- Byku jeden, już nie wyczuwasz, co duże, a co mniejsze! - doskwierała chłopu, nie licząc się z rozgłosem, który może wpędzić dziewczynisko w lata.

- Jak to!? - szypiał z urazy. - Sam się dziwiłem, że za drugim razem trudno mi poszło...

- Jak wygadujesz takie rzeczy, to wyjdź do sieni, tam, gdzie nie ma obrazów świętych...

- Czego? Przecie nad twym łóżkiem tyż wisi...

- Zamilcz! Dzieci słyszą, gębo niewyparzona!

- A co mają nie słyszeć, na durni chcesz je wychować?

Naparzanka potrwała. Wstał świt i zwolna porykiwało krówsko, niecierpliwe wypuszczenia na pastwisko. Każdy zajął się zatem swoim, dzieciska zaś nie dawały się wybić ze snu obsiadającym je muchom, naciągając płachty po czubki główek.

Miał lud ubaw i z tym, co kiłę nosił, bo i jemu odbiło. A wszystko to z przepracowania i łakomstwa, którym jedno imię - Bieda. Mianowicie ów trzeci urządził cyrk nie lada! Kawalerka zrzuciła się na parę groszy zapłaty za to, aby szedł do młódek i pannic, co rozsiadły się na przyzbach, pokazywać im "obadwa żenidła", byłe i niby nowe... - A co! - tłumaczył. - Na wywózki niezdolnym. Dają pieniądze za durnotę, to czemu je nie brać... Czy to grzech? Urodzi która bachora od tego? Posika się i tyle. Zaczerwieni się, ale i przypatrzy spod rękawa, zasłoniwszy się tak, by niczego z widoku nie uronić. Znam te sucze jęki.

Interweniowały szacowniejsze matrony rodów, pomstowały na rozwydrzenie chłopaczysk i pluły na degrengoladę pierdoły. A on odparowywał, wcale nie zdeprymowany wyzwiskami. - Miastowi nie takie brewerie wyprawiają! Zapomnieliśta, jak tacy-owacy w piętnastu Czarną Lolę w stodole dupczyli i na odchodne świecę zapaloną wprawili jej, aż o mało co nie zgorzała ze sianem...

Argument nie do zbicia, jako że powszechny. Daj idiocie prawdę do ręki, to weźmie i zwycięży. Buszowało se sioło na barbarzyńską modłę, póki nie było nic lepszego do roboty. Na siódmego listopada, tuż po zimowych orkach, jakiś cywil z czerwoną kokardą w klapie przybył, zobaczył i zarządził otwarcie świetlicy w niedopalonej komendzie hilfpolizei. Obwieścił walkę klas, gołodupcom wskazał bogaczy, takoż świetlisty szlak. Wobec tego cipcianie się przerwało, niczym na rozkaz wymarszu wojska ze zdobytego po przewlekłym oblężeniu grodu...

- Teraj to już nie do rechotów nam będzie, - powtarzano nowoludową mądrość. - Skończyło się oranie, sianie, i posuwanie... Tak, tak.

(c.d.n.)

Szanowni Państwo!

Bractwo Młodzieży Prawosławnej Diecezji Warszawsko-Bielskiej w Bielsku Podlaskim informuje, iż podjęło inicjatywę wydania drukiem opisu parafii prawosławnej w Czarnej Cerkiewnej, który sporządzony był w latach 1889-1890 przez ks. Aleksego Wołkowskiego - oryginalny tytuł: "Cerkowno-prichodskoje i statisticzeskoje opisanije Czarnianskoj cerkwi i prichoda".

Dokument ten stanowi cenne źródło świadczące o przeszłości Cerkwi Prawosławnej na Białostocczyźnie, pokazuje także codzienny byt parafialnej społeczności białoruskiej końca XIX wieku. Podobne materiały archiwalne są obecnie rzadkością. Dlatego też, ze względu na te walory, uważamy za stosowne przedstawienie tego dokumentu szerokiej rzeszy mieszkańców naszego regionu.

Z wydaniem dokumentu wiążą się jednak znaczne koszty, sięgające obecnie ok. **15 mln zł**. Taką sumą - niestety - Bractwo Młodzieży Prawosławnej nie dysponuje. Licząc na przychylne ustosunkowanie się Szanownych Państwa do naszej inicjatywy, prosimy o pomoc w postaci choćby symbolicznego wsparcia finansowego. Ze swej strony proponujemy zakup przygotowywanego wydawnictwa na zasadach subskrypcji. O ile zgromadzimy do końca sierpnia b.r. odpowiednie fundusze, to książka ukaże się już w październiku. Ażeby ją nabyć, wystarczy wpłacić **15 tys. zł** na konto: **5526-80725-136 II PKO Białystok** - z dopiskiem *"Czarna Cerkiewna"* /po wydaniu książki prześlemy ją na adres subskrybenta/. Każdy ofiarodawca wpłacający powyżej określonej sumy będzie uważany za sponsora publikacji, a jego nazwisko - jeżeli nie zastrzeże sobie anonimowości - zostanie umieszczone na liście darczyńców.

Dodatkowe informacje odnośnie wydawnictwa oraz zasad jego zakupu można uzyskać pisząc na adres: 17-100 Bielsk Podlaski, ul. Mickiewicza 36.

Bractwo Młodzieży Prawosławnej
Diecezji Warszawsko-Bielskiej
w Bielsku Podlaskim

FUNKCJONARIUSZE I KAPUSIE

Głośna ostatnio "sprawa teczek", czyli ujawnianie byłych konfidentów Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego oraz Służby Bezpieczeństwa spowodowała nie tylko upadek rządu Jana Olszewskiego, ale narobiła również dużego zamieszania w centralnych organach władzy. Pomijając tu kontekst polityczny całej afery, wypada stwierdzić, że były minister Antoni Macierewicz oraz powołany przez niego Wydział Studiów, „spartolił" dokładnie całą robotę sporządzając listę 64 nazwisk, która - oczywiście - została rozpowszechniona pomimo jej "tajności". Na tej liście znalazło się także kilka nazwisk osób z Białostocczyzny, ale to nie te postacie wzbudzały największe kontrowersje.

Afera lustracyjna pokazała bardzo ważną sprawę, której nie dostrzegała wcześniejsza "solidarnościowa" opozycja, a z którą Białorusini Białostocczyzny - jako mniejszość narodowa - stykali się od dawna. Komunistyczna policja polityczna (UBP i SB) była organem fachowym i skutecznym, potrafiącym wciągnąć w swoją sieć wielu mieszkańców PRL-u. Jedni szli na współpracę "po dobroci", inni zaś byli w nią wmanewrowywani. Do tego tworzono obszerną dokumentację aktową - bez względu na to, czy zabieg pozyskania współpracownika zakończył się zwerbowaniem, czy też nie. Słusznie więc, ale po fakcie, większość osób publicznych potępiła uchwałę lustracyjną Sejmu RP, widząc w niej instrument gry politycznej. Jednakże tylko część zdecydowała się stwierdzić, że w oparciu o akta policji politycznej wręcz niemożliwym jest udowodnienie współpracy.

Z dyskusji, jaka wybuchła po przedstawieniu Sejmowi "listy Macierewicza", przeciętny Polak mógł się dowiedzieć bardzo wiele o działalności służb specjalnych. Padająca czasami liczba kilku milionów "kapusiów" dowodzi, że nie wszyscy, poza "reżymową" władzą, należeli do opozycji i walczyli o wolność ojczyzny. Jedna sprawa stała się jasna: trudno teraz dowodzić, że to tylko Białorusini bądź inne mniejszości narodowe "utrwalały władzę ludową". Zresztą, wśród 64 nazwisk na liście Macierewicza znalazły się tylko dwa niepolskie.

W całej tej sprawie dziwnym wydaje się być wystąpienie posła E. Czykwina, który chyba nie zrozumiał o co chodzi, bo stanął on w obronie pracowników UBP narodowości niepolskiej, przedstawiając fragmentarycznie sytuację na Białostocczyźnie w okresie powojennym (tekst wystąpienia: "Przegląd Prawosławny", nr 6 z b.r.). **Poseł E.Czykwin popełnił tu dwie niedopuszczalne pomyłki. Potraktował on bowiem funkcjonariuszy UB, MO oraz członków ORMO na równi ze zwykłymi donosicielami, którzy sprzedawali informacje tym pierwszym, często o swoich znajomych, nawet rodzinie.** Podobnie, nie rozróżnił sytuacji, jaka panowała po wojnie na Białostocczyźnie, od wydarzeń z tego samego okresu w Bieszczadach. A przecież stosunki polsko-białoruskie były zasadniczo inne od tych, które miały miejsce w relacjach polsko-ukraińskich.

Wracając do współpracowników - kapusi (białoruskie - "syszczyk"), to status tych osób jest dla normalnego obywatela aż nadto wyraźny. Donosiciel zawsze pozbawiony będzie jakiejkolwiek moralności, jego zasady postępowania nie mieszczą się bowiem w obrębie zwykłego współżycia społeczności ludzkiej - bez względu na narodowość, kolor skóry czy przynależność religijną.

Trudno jest obecnie wyrokować, jak zakończy się "sprawa teczek". Najprawdopodobniej na zieloną trawkę poleci kilka kozłów ofiarnych. Jednak fetor nienawiści, który już teraz unosi się nad krajem, odczuwalny będzie jeszcze przez czas dłuższy, a "życzliwi" będą sobie funkcjonowali dalej, tak w środowisku polskim, jak i białoruskim; z zupełnie różnymi zadaniami - rzecz jasna. I próżno by tutaj wypatrywać pomocy ze strony państwa, system donosicielstwa był i będzie bowiem jedną z jego solidniejszych podpór. Co zaś się tyczy naszego podwórka - **mniejszość z definicji skazana jest na nadurodzaj "kapusiów". I jeżeli nie poradzimy sobie z nimi sami, nikt nam w tym z pewnością nie pomoże.**

Teodor Rybaczuk

WARSZAWA

21 czerwca odbył się kongres założycielski Stowarzyszenia Polska-Białoruś. Głównym celem nowopowstałej organizacji jest nawiązanie współpracy z Polakami na Białorusi oraz Białorusinami w Polsce. W założeniach Stowarzyszenie ma budować dobrosąsiedzkie stosunki, rozwój wymiany gospodarczej i handlowej. Na kongresie zapadła też uchwała o wydaniu pierwszego w dziejach słownika białorusko-polskiego i wznowieniu uzupełnionego słownika polsko-białoruskiego.

Polscy Białorusini o Stowarzyszeniu Polska-Białoruś dowiedzieli się z prasy. Na kongres założycielski nie zaproszono żadnego przedstawiciela naszej mniejszości. Żadna z organizacji białoruskich w Polsce nie otrzymała też jakiejkolwiek oferty współpracy.

HAJNÓWKA

Na początku czerwca ruszyły prace przy budowie nowego budynku Liceum Ogólnokształcącego z Białoruskim Językiem Nauczania. Realizacja inwestycji odbywa się ze środków Ministerstwa Oświaty i Wychowania. Niestety, przychylnością dla sprawy białoruskiej już kolejny raz nie popisał się burmistrz Mieczysław Gmiter. W odpowiedzi na ofertę współpracy - jeden z obiektów nowopowstającego liceum (basen) mógłby służyć ogółowi mieszkańców - dyrektor otrzymał odpowiedź odmowną. Przewidywany termin zakończenia budowy nastąpi w 1994 roku.

JACZNO

14 czerwca odbył się festyn białoruski zorganizowany przez Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury w Białymstoku i Dom Kultury w Dąbrowie Białostockiej. Na festynie, który zgromadził wielu mieszkańców okolicznych miejscowości, wystąpiły miejscowe białoruskie zespoły ludowe, chóry z Ryboł, Białegostoku i Grodna. Dużą popularnością cieszyła się sprzedaż książek i kaset z muzyką białoruską.

BIAŁYSTOK

Żaden z kandydatów na studia Filologii Rosyjskiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku nie wyraził chęci uczestnictwa w zajęciach z historii Białorusi. Wszyscy wybrali drugi wariant - historię Rosji.

Przyszli studenci w większości pochodzą ze wschodnich gmin województwa białostockiego.

***

Od 17 czerwca w Muzeum Wojska prezentowana jest wystawa ikon ze zbiorów Obwodowego Muzeum Krajoznawczego w Brześciu. Wystawiono 110 ikon, przeważnie z XIX w. Muzeum brzeskie otrzymuje ikony skonfiskowane przez celników na miejscowym przejściu granicznym. Spośród 2000 ikon, będących obecnie na stanie muzeum - blisko 700 zatrzymano w roku ubiegłym.

***

19 czerwca odbyła się uroczystość rozdania świadectw w szkółce białoruskiej p. Wiktora Stachwiuka. W zajęciach prowadzonych przez Jana Mordania uczestniczyło siedmioro maluchów.

***

21 czerwca w białostockim amfiteatrze odbyło się zorganizowane przez Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Święto Kultury Białoruskiej. Wzięło w nim udział 20-tu wykonawców (solistów i zespołów). Widzów ok. 500.

***

25 czerwca Sąd Wojewódzki w Białymstoku zarejestrował stowarzyszenie pn. Rada Programowa Tygodnika „Niwa". Na początku lipca wybrano władze. Przewodniczącym został Jan Czykwin - poeta białoruski. Po spełnieniu odpowiednich wymogów prawnych Rada będzie oficjalnym wydawcą „Niwy". Oprócz wypracowywania koncepcji merytorycznych odnośnie zawartości tygodnika, organizacja ta będzie zatwierdzać regulamin wewnątrzredakcyjny.

BIAŁYSTOK - MIŃSK

Stanisław Poznański, do niedawna dziennikarz rozgłośni Polskiego Radia w Białymstoku - szef redakcji programów mniejszości narodowych - od lipca został korespondentem zagranicznym Polskiej Agencji Prasowej w Mińsku.

***

Mińskie wydawnictwo "Mastackaja Litaratura" wydało książkę Sokrata Janowicza "Samosiej", w nakładzie 5 tys. egzemplarzy. Zawiera ona opowieść psychologiczną "Samosiej" oraz najlepsze opowiadania (dzięki odleżeniu przez książkę "swego" w wydawnictwie z powodów niezależnych od autora do zbioru weszły też najnowsze utwory S. Janowicza).

"Samosiej" jest drugą, po wydanym w 1978r. "Siarebranym jezdaku", książką tego autora, wydaną na Białorusi. Z tego okresu jest fotografia S. Janowicza, zamieszczona w "Samosieju". **SOKRAT SIĘ NIE STARZEJE!**

"Samosieja" poprzedził wstępem Uładzisłau Rubanau, specjalista od prozy w "Mastackaj Litaraturze". Raczył on zauważyć "odczuwalny wpływ języka polskiego na składnię, słowotwórstwo i gramatyczny ład pisania" S.Janowicza. Czyżby to autorzy "M.L.", puszczani do druku znacznie częściej niż Janowicz, mają być wzorem dla Sokrata?

Książka jest wydana solidnie, w twardej tłoczonej oprawie, zawiera 380 stron. Cena na Białorusi (stara!) 2,50 rubla, w Białymstoku nabyć "Samosieja" można w redakcji "Niwy" (cena 20 tys. zł).

MIŃSK

Centrum socjologiczne przy Białoruskim Uniwersytecie Państwowym przeprowadziło badania wśród społeczeństwa na temat oceny sytuacji politycznej w państwie. Ok. 80% respondentów twierdzi, iż winę za obecny kryzys ponosi aparat partyjno-administracyjny. 64% ankietowanych pragnie, aby członkom aparatu partyjnego zabronić sprawowania stanowisk kierowniczych.

***

Pojawił się w obiegu nowy znaczek pocztowy z wizerunkiem godła miejskiego Połocka. Nominał znaczka wynosi 2.00 (rubli czy talerów?). W tym roku Połock obchodzi jubileusz 1130 lat swego istnienia.

KISZYNIÓW-MIŃSK

Mołdowa jest pierwszym państwem poradzieckim, które udzieliło pomocy finansowej w likwidacji następstw katastrofy czarnobylskiej. Państwo to przekazało Białorusi 25 mln rubli. Obiecana pomoc Rosji w formie długoterminowej pożyczki w wysokości 10 mld rubli do tej pory nie nastąpiła.

KRONIKA NIESZCZĘŚĆ

Maj, miesiąc kojarzący się przeważnie z kwitnącymi kasztanami, ukwieconymi łąkami i bujnym rozkwitem zieleni był dla nas prawosławnych miesiącem dalekim od wiosennej radości. W tym czasie wydarzyło się wiele nieszczęść, których nie zabrakło także w czerwcu...

16.05.

Pożar cerkwi p.w. Wszystkich Świętych w Białymstoku, zauważony w godzinach porannych. Spaliła się wewnętrzna część dachu, spadające płonące jego szczątki uszkodziły Św. Prestoł i ikonostas. Szczęściem w nieszczęściu był fakt, iż do wnętrza świątyni nie było dostępu powietrza, wobec czego ogień przygasł samoczynnie. Straty oszacowano na ok. 200 mln zł.

22/23. 05.

Dewastacja grobów na cmentarzu w parafii św. Eliasza w Dojidach. Przy głównej bramie wejściowej zniszczono lub uszkodzono częściowo sześć pomników na grobach dzieci oraz dwa na grobach osób dorosłych.

26.05.

Włamanie do cerkwi p.w. św. Ap. Łukasza w Tyniewiczach Dużych. 30 maja (wtedy dopiero wykryto włamanie) stwierdzono kradzież dwóch zabytkowych ewangelii ("naprestolnych"), dwóch czasz i naczyń liturgicznych. Złoczyńcy dokonali także wielkiego świętokradztwa, profanując Święte Dary - wyjęto je z darochranitielnicy i rozrzucono po podłodze.

29/30.05.

Włamanie do Spasouskiej (Przemienienia Pańskiego) cerkwi cmentarnej w Klejnikach. Skradziono ikonę św. Mikołaja z XIX w. oraz czaszę (kielich liturgiczny) i krzyż liturgiczny.

Koniec maja.

Kradzież rynien oraz części pokrycia dachu cerkiewki Św. Marii Magdaleny w Białymstoku. Straty oszacowano na ok. 12 mln zł. Skutki kradzieży zostały już usunięte. Dach uzupełniono blachą miedzianą, natomiast w miejsce poprzednich miedzianych - założono rynny plastikowe. Koszt ich zakupu i zainstalowania(ok. 3,5 mln zł) pokrył jeden z miejscowych parafian.

8/9.06.

Kradzież ok. 17 metrów kwadratowych miedzianej blachy z niedawno pokrytej małej kopuły świątyni Haghia Sophia (w budowie) w Białymstoku-Wygodzie. W późniejszych dniach podejmowano tam dalsze próby kradzieży miedzianej blachy. Jednak wzmocniona ochrona (dyżury społeczne) je udaremniła.

10/11.06.

Nocą, w czasie ulewnego deszczu skradziono dziewięć dolnych odcinków pionowych rynien miedzianych łącznej długości ok. 16 m. w cerkwi św. Ducha w Białymstoku.

22/23.06.

Dokonano włamania do cerkwi św. Mikołaja w Gdańsku. Skradziono 21 dziewiętnastowiecznych ikon - najcenniejszą część wyposażenia świątyni. Policji udało się odzyskać jedynie porzucone przez złodziei ramy.

(Komentarz do kroniki nieszczęść czytaj na str. 20)



Cerkiew Haghia Sophia w Białymstoku (dzielnica Wygoda)

rys. W. Pietruk

CIĄG DALSZY NIE NASTĄPI?

Nie było ani jednej chętnej osoby do klasy z językiem białoruskim jako przedmiotem w nowoorganizowanym X Liceum Ogólnokształcącym w Białymstoku. Nie pierwsza to inicjatywa Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, zakończona fiaskiem. Kandydatów nie skusiły "szerokie perspektywy i ciekawa praca dla osób ze znajomością języka białoruskiego" (tak właśnie mamiono młodych ludzi np. w białoruskiej audycji radiowej "Pod znakiem Pogoni"). Szkolnictwo białoruskie w Polsce jest problemem bardzo skomplikowanym i ma raczej wymiar moralno-polityczny, niż techniczny. Podczas rozmów z białostockim kuratorem oświaty K. Litermusem, Białoruskie Zjednoczenie Demokratyczne postulowało utworzenie w Białymstoku odrębnej, białoruskiej szkoły podstawowej. Bliższych szczegółów nie znamy. Jedno jest pewne - od nowego roku szkolnego sytuacja białoruskiego szkolnictwa w Polsce na pewno nie ulegnie poprawie.

***

Rada Gminy Gródek niemal jednogłośnie wyraziła sprzeciw dla wydawania (czytaj: dofinansowywania) reaktywowanej przez Lonika Tarasewicza gazety lokalnej "Hołas Haradka".

Czy taki sam los spotka ideę białorusko-polskiej gazety gminnej w Narwi?

III Festiwal Muzyki Młodej Białorusi "Basowiszcza '92"

Piątek, 17-07-1992 (konkurs)
- początek o godz. 19.00
1. LICEJ (Hajnówka)
2. Ałżbieta Beziuk (Bielsk)
3. Siarżuk Łaunik (Lida)
4. Liza Lambowicz (Miensk)
5. Andrej Mielnikau (Worsza)
6. ALEN (Nawapołack)
7. PAŁAC (Miensk)
8. HRUNWALD (Nawapołack)
9. KRAMA (Miensk)
10. MROJA (Miensk)
11. DZIDA (Nawapołack)

Sobota, 18-07-1992 (konkurs)
(14.00 - konferencja prasowa z organizatorami)
- początek o godz. 19.00
1. HRAMADA (Wiciebsk)
2. Walżyna Ciareszczanka (Homiel)
3. Aleś Kamocki (Miensk)
4. Lera Som (Połack)
5. Wiktar Szałkiewicz (Harodnia)
6. Trio RAMONAK (Harodnia)
7. SEVEN B (Harodnia)
8. Kasia Kamockaja i NOWAJE NIEBA (Miensk)
9. MIASCOWY CZAS (Połack)
10. TALER (Biareście)
11. ULIS (Miensk)

Niedziela, 19-07-1992 (finał)
12.00 - 16.00 Wolny mikrofon (wystąpi również zespół WAKZAŁ z Wiciebska)
18.00 - ? KONCERT LAUREATÓW
Kolejność: III, II i I miejsce plebiscytu publiczności, nagrodzony solista(ka), faworyt L.TARASEWICZA, nagrodzony zespół.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo zmian w niniejszym programie.

Białystok, 1992.07.13

Pan Oleg Łatyszonek
Przewodniczący Rady Głównej
Białoruskiego Zjednoczenia Demokratycznego

Odpowiadając na wystąpienie Pana Przewodniczącego, w imieniu Pana Wojewody Białostockiego prof. Stanisława Prutisa pragnę przypomnieć i wyjaśnić, że spotkanie Pana Przewodniczącego Rady Najwyższej Republiki Białoruś z przedstawicielami mniejszości białoruskiej na Białostocczyźnie odbyło się w ramach nieoficjalnej części wizyty, na życzenie Pana Prezydenta.

Wojewoda zorganizował jedynie to spotkanie, użyczając pomieszczeń sali konferencyjnej Urzędu. W spotkaniu nie uczestniczył, by nie krępować swobodnej wymiany poglądów. Rolę prowadzącego przyjął minister spraw zagranicznych Pan Piotr Krawczanka. Spotkanie odbyło się w języku białoruskim, co najwyraźniej odpowiadało stronom spotkania. Wypowiedzi nie tłumaczono ze względów kurtuazyjnych, ponieważ żadna ze stron tego nie oczekiwała.

W tej sytuacji Wojewoda Białostocki nie ma możliwości zajmowania stanowiska w sprawie treści wypowiedzi uczestników spotkania i późniejszych relacji prasowych. Nie podejmie też - wbrew zapowiedziom "Kuriera Porannego" - żadnych "stosownych działań".

W szczególności Wojewoda nie wystąpi z powództwem przeciw "KP" ponieważ w opisanych wyżej warunkach faktycznych, ustalenie stopnia naruszalności godności obywateli Rzeczpospolitej Polskiej w odniesieniu do ich wypowiedzi w języku białoruskim, nie leży w kompetencji i możliwościach polskiej administracji.

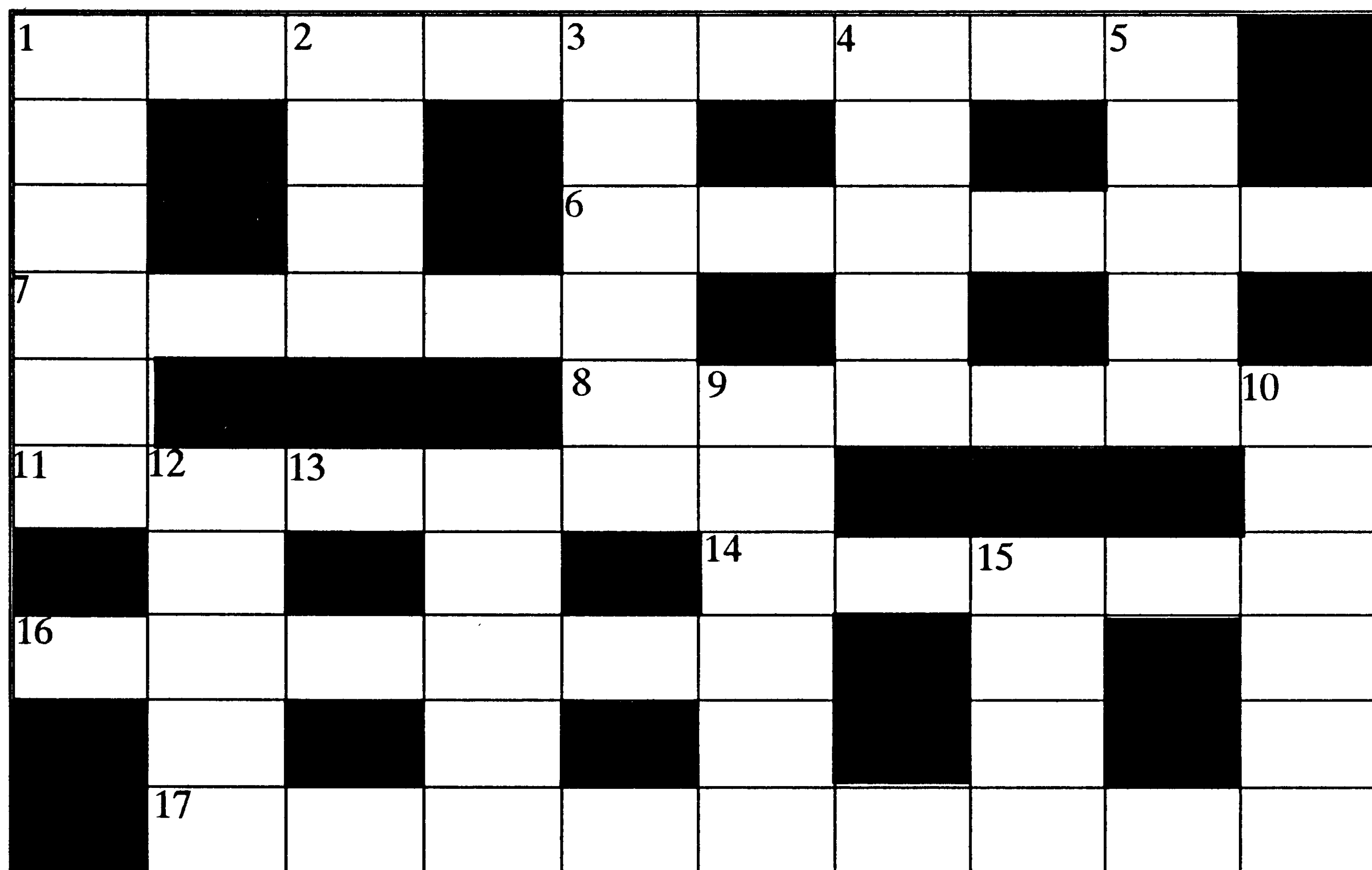
Wszelkie zastrzeżenia co do opublikowanych artykułów prasowych Białoruskie Zjednoczenie Demokratyczne może realizować na podstawie art. 31, 32 i 39 Prawa prasowego (Dz. U. Nr 5 z 1984r.), domagając się opublikowania bądź odpowiedzi. Możliwa jest również droga sądowa.

Niniejsze wyjaśnienie udostępniamy prasie, ponieważ temat został już poruszony na jej łamach.

Z poważaniem

Dyrektor Wydziału Spraw Obywatelskich
mgr Grzegorz Rykowski

KRZYŻÓWKA-KRYŻAWANKA



Do diagramu prosimy wpisać wyrazy w języku białoruskim.

POZIOMO: 1. np. relaks, 6. rzemień, 7. nić, 8. dworzec, 11. skala, podziałka, 14. odpowiedź, 16.futerał, 17. rówieśnik.

PIONOWO: 1. ekonom, 2. pręt, 3. wnętrzności, trzewia, brzuch, 4. aluzja 5. osnowa tkaniny przy wyszywaniu 9. rodzaj stogu z dachem, 10. zarośla łoziny, 12. rekin, 13. bloczek kwitów lub kuponów, 15. zakopany (ukryty) skarb.

"jamor - jadań"

Odpowiedzi prosimy wysyłać na adres redakcji do 1 września br. Do wygrania zegarek kwarcowy "Łucz" (z Pogonią) oraz nagrody książkowe.

Prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z poprzedniego numeru:

УПОПЕРАК: 1. Кастрычнік, 6. Летапіс 7. Танк, 9. Сціск 11 Бакал, 13. Арфа 15. Часопіс, 16. Раскольнік.

УНІЗ: 1. Каляска, 2. Суткі, 3. Рапак, 4. Частка, 5. Іран, 8. Каласок, 10. Скачок, 11. Бусел, 12 Купон, 13. Рэха.

Nagrody książkowe otrzymują: Pani Barbara Kiryluk z Białegostoku, Pan Bazyli Pietruczuk z Białegostoku i Pan Juraś Ściapanau z Witebska. Nagrody wyślemy pocztą.